

# Strzemieńczyk, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# *Strzemieńczyk*

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

# TOM II

## I

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy Grzegorz z Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując na dworze...

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, a pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała.

Wstydzila się teraz ochłonawszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odbołała jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzali, dopominał się o mistrza swego i powoływał do siebie.

Z rozmów z nim, przekonał się Grzegorz, iż o znowie z cesarzową, matka młodego Władysława nie zawiadomiła za wcześnie, oczekując, aby ona przyjść mogła do skutku. To tylko jedno wpajała królowa w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa, nic innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmoczenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwić, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów, często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia.

Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wysłał Władysław, marzący jak matka o królestwach jakichś, nad którymi miał panować...

Nielaska w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicyi, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowiekowi, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki.

Nie mówiła z nim tylko nigdy o poselstwie ostatniem, najmniejszym słowem nie wspomniwała o niem nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, wcale się nie zdawało wpływać na jego humor i usposobienia. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynał, z czem przybywał, lecz łącznie było domyślać, że przyjaźne Polsce i królowej stronnictwo w Czechach, on podtrzymywał i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą nie zbyt otwartej, pół gębkiem, dawał do zrozumienia Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z synów Jagielly...

Mistrz nie dawał się temi nadziejami upoić, nie był on za tem szukaniem cudzych Bogów, nie sprzeciwiał się, milczał.

Po niejakiem czasie królowa Sonka, zbliżać się zaczęła do Grzegorza i używać go do mniejszych posług, dając skazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować...

Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, radby był dwór całkiem porzucił. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Nielatwo jednak raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego.

Król nie byłby odpuścił Grzegorza, a królowa ani mówić o tem nie dawała.

To co inni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością, szanowano go i wiedziano, że na nim polegać można.

Jedyną pociechą w tych czasach było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Frąckowej.

Tu mu także nie zupełnie szło po myśli. W mieście stłumiona jeszcze jakimiś względami, gotowała się walka, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupcy niektórzy, Żupnik krakowski Mikołaj Serafin, radzca Graszar, Wink i stary Balcer, obwiniani byli

o bicie i puszczenie w obieg monety, która wartości jej nadawanej nie miała. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażeni byli na straty, bo jej poza granicą nie brano całkiem lub daleko gorszą ceną.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli, miasto nią zawlewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samym mieście dwa się już zarysowywały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył.

Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na Ratuszu, w Sukiennicach, do wymówek i pogroźek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawieź też, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali, był niejaki Przedbor Hocz mieszczanin, człowiek zuchwały a ulubieniec gminu, w którego obronie zawsze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych pozyskać środkiem nigdy nie zawodzącym. Miał gębę wyparzoną i prawił głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie. Nic łatwiejszego jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są przemocą ofiarą.

Hocza za to pod niebiosa wynoszono, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował on z powodu poborów, opłat, czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów, i tem sobie przygotował przyjaciół. W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wicherzeń ochoty nie mieli.

Sprawa była wszystkich obchodząca... Dobry pieniądz wykupywano, fałszywym zawlewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejscy byliby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocza, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnym przestępstwie nie dawał się pochwyć, gawieź szła na jego skinienie; niebezpiecznie było go zaczepić.

On tymczasem uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, Ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z nimi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co pieniądze różnych dużo w obieg puszczał...

Hocz miał do niego zęb z dawna, bo mu córki odmówił, rad był się pomścić.

Pomimo odgrózek, które ze wszech stron nadchodziły na Ratusz, do pana Serafina i do Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę. Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Placili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzone im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin, rad zawsze, gdy do starszyzny może się za coś jąć, krzyczał i groził.

Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na cmentarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano...

Żupnik Serafin śmiejąc się dowodził, że mu to było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

— Kiedy ich gardła nie bolą, niech sobie pozwolą... Ja przez to nie schudnę! Bóg z nimi...

Niektórzy szepotali, że Hocza by ująć należało, ale obrażeni, którym zalał za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał już wiele Grzegorz z Sanoka, i usiłował Balcera skłonić, aby go zagodzono, ale na próżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że lub przyjaciół lub wrogów na całe życie tworzy. Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka, któremu się w radzie siedzieć chciało z innemi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą do biskupa lub na zamek przez niego. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mięszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nadewszystko, i powiedział, że wojnę tem tylko można było tłumaczyć, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

— Te żółto brzuchy miejskie doprowadzą nas do tego — mówił Hocz Grzegorzowi — że my nad nimi sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

— Patrzajże — odparł mistrz — że z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

— Niedoczekanie! — prawil Hocz.

Parę razy już zbiorowiska ludowe, groźne w rynku i na przedmieściach przybierały rozmiary takie, że miejska straż i wiertelnicy z trudnością je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach i z innych powodów nieraz się wszczynały, ale te łatwo uśmierzyć było. Trafiło się, że studenci, którzy zwyczajem dawnym mieli zapewniony kozubalec od żydów, gdy z wyznaczonych do wypłacania go kampsorów nie byli radzi, wyprawiali napaść na pogrzeby żydowskie i zmuszali do okupu.

Zwyczaj ten tolerowany poniekąd, z naprawy zbyt gorliwych, poczynił teraz się zastosowywać i do poszlakowanych o hussytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzieloną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały, w których przy odśpiewywaniu pieśni, miała prawo pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy jedna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krakowie, gdzie i cudzoziemcy i kupcy wędrowni dawali powód do zwad ulicznych.

Urzędy więc miejskie, oswojone z takimi rozruchami, ustępującymi przed powagą wiertelników, nie przywiązywały do nich zbytnej wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi, i uważniej przypatrujący się rosącemu rozdrażnieniu Grzegorz z Sanoka, niepokoił się i przestrzegał, zwłaszcza Balcerów i Frączka, o których był niespokojny.

Nie chciano wierzyć w groźące niebezpieczeństwo. Tymczasem burza się widocznie zbierała.

Hocz od kilku dni, było to w sierpniu, zbierał tłumy, krzyżąc i dowodząc, że sprawiedliwości nie ma, i że lud powinien ją sam sobie domierzyć.

Inni podżegacze, poili motłoch i usiłowali go do rzucenia się na domostwa Żupnika i rajców namówić. Szło to jednak opornie... Sądy za gwałty były surowe, obawiano się wyroków, jakich miano przykłady...

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź, rozeszła się nic nie poczynając, tylko odgrządzając się i krzyżąc, Żupnik Serafin i rajcy sądzili, że się to tak uśmierzy i skończy na niczem...

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem Grzegorz z Sanoka do Balcerów posepny i milczący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie nie mówiąc nic, i dopiero gdy go Frączkowi, stanąwszy przed nim zagadnęła, co mu to jest, iż tak smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

— Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

— W czym? jak?

— Powinnibyście się domyśleć — począł mistrz. — Lekko sobie ważycie Hoczę i gmin, a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary niewielomówny zwykle, ręką zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył. Grzegorz wstał z ławy.

— Na miłego Boga nie puszczajcie mimo uszu słów moich — odezwał się. — Na jutro umówiona jest napaść na Serafina, na Graciana, Winka i na was, nie licząc tych, o których nie wiem... Lud się zmówił, przewodcy powyznaczani, przypadkiem doszła mnie wieść o tem. Albo zaradźcie temu, wywołując złą monetę, albo, jeżeli do tumultu przyjdzie, chrońcie się natychmiast na zamek, boście życia nie pewni.

— Jako! jako! — krzyknął Frączek — ta hałastra śmiałaaby się porwać na pana Żupnika! na rajców! To są głupie przechwałki...

— Na które nie zważając, możecie je życiem przypłacić — mówił mistrz. — Mam dla was obowiązki, ratować was chcę...

Jeśli mi nie wierzycie, wola wasza, czyńcie jak się wam podoba, ale niewiasty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują. Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej, i obstaję przy tem, aby kosztowności zabrawszy, szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli, zamilkli, ale stanowcze oświadczenie takie, silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

— Nie może to być! nie przyjdzie do tego! — zaburczał Frączek...

Balcer się zadumał.

— Więc by trzeba dać znać Żupnikowi i rajcom?

— Winka po drodze spotkałem i przestrzęgåłem go — odparł Grzegorz... — Jutro rano daj Boże, byście zbiedz czas mieli. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod pannę Maryę, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy...

Pewność z jaką o tem mówił Grzegorz z Sanoka, dała do myślenia.

Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i tych, którym właśnie rozsypywanie złej monety przypisywano... Zawadjaka był zuchwały, ale w duszy tchórz.

Zobaczywszy Grzegorza na ławie siedzącego, od progu zawołał.

— A, to już wiecie!! Odgrająą się zbóje, ale straż mamy, która będzie czuwać uzbrojona.

— Pamiętajcież tylko — przerwał mistrz — że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi wiertelnicy pójdą pod jego rozkazy.

— Jakaż rada? — zapytał Frączek.

— Trzeba na ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec — odezwał się Grzegorz...

— Ho! ho! — przerwali mieszczanie.

Mistrz z niemi rozprawić już nie chciał, zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

— Wybierajcie się i idźcie za mną, nie stanie się nic, nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tem niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, dopiero się odezwała.

— Mamyż ojca i męża porzucić?

— Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc, za mną w drogę.

Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał... Grzegorz przynagłał.

Przez długi czasu przestanek panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swem postawił i na pół musem uprowadził na zamek.

Tu już ochmistrzyni królowej uproszona izbę dla nich trzymała w pogotowiu...

Grzegorz, oprócz tego zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrogę.

— Należałoby rozruchowi zapobiedz — rzekł.

— Zdaje się, że już zapóžno — odpowiedział Grzegorz — a tem trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warchoł, ma słusność.

Biskup z powagą i zimną krwią sobie właściwą, zamilkł, odkładając radę na jutro...

W mieście Żupnik Serafin, najwybitniej zamieszani w sprawę rajcy, późno dopiero w noc, rozesławszy po mieście swoich ludzi na zwiady, po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były.

Gawiedź przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej, całą noc piła po browarach. Wiertelników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozegnano. Klucze od dzwonnicy u p. Maryi i w kilku innych kościołach były w ręku zbuntowanych.

Całą sierpniową noc te kupki się snuły po uliczkach, zwoływały i czuwały... Hocz, którego nigdzie nie było niby, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na niczem, na wrzasku skończy.

Wszakże Miklucz Serafin w nocy pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego wywiózł potajemnie...

Do dnia w mieście nic niebyło można dojrzeć nadzwyczajnego, tak, że pospolici ludzie, o niczem nic nie wiedzący, sądzić mogli, iż baśń na postrach sklecono...

Życie się rozpoczęło jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed niemi, okiennice kramików zwolna spuszczano; przekupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w sukiennicach poczynął się ruch powszedni, nic nie zwiastowało żadnego usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się puściejse, niż zwykle...

Okolo tego czasu, gdy primarją po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, kątów, zaczynała się powoli ściągać gawiedź, której na rynku nie widywano zwykle; ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikiemi, jakby obcy tu i nieumiejący się obracać. Szli niepewnie oglądając się, aby niemi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami... Nieznacznie liczba ich rosła coraz, pomnażała się, i milczenie w gwar się głuchy zmieniło...

Nim primarja u P. Maryi się skończyła, rynek już był przepelniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach. W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny...

Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w rynku, przybrało niezwykłą jakąś fizjognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowemi.

Wielka liczba czeladzi ciekawej... przyłączyła się do niego...

W tem, jakby z pod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu poddano niewiadomo z kąd ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował...

Ze szmeru i gwaru, jaki w rynku panował, nagle cisza stała się wielka, i Hocz głos zabrał.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale krzyczeć głośno, a bić musi orator w krzywdy, uciski i uciemienie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo miał za sobą istotnie sprawiedliwość.

— Chodziliśmy na ratusz, kłaniali się i przedstawiali na próżno, odpędzono nas precz. Słuchać nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przyprawiają. Dla kilku złych mamy ginąć wszyscy? Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się z bogacili, krew z nas wysysają...

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyczeć.

— Na Serafina! na Graciarza! na Winka! na Balcerów! na gałąź z niemi!!!... Burzyć domy...

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko, podzieliwszy się na gromady, runęło ku ratuszowi, rozplynęło się po ulicach...

Hocz sam prowadził jedną kupę, w pałki zbrojną. Na ratuszu nie było już nikogo, ani rajców, ni ławników. Izby stały żelaznemi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się na dom Serafina Żupnika, którego już tu nie znaleziono...

Wywalono wrota, połamano sprzęty, inni tak samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczęściem wszyscy oni, choć późno, potrafili ratunku szukając, zbiedz na zamek... Goniono ich tak, że o mało nie doścignięto, gdy się za niemi wrota zamknęły...

Hocz nie poprzestał na tem i uzuchwalony z całym tysięcznym tłumem, rozwścieczonym, gniewnym, rozhukanym jak morska fala, zjawił się pod murami zamkowemi, domagając się wydania winnych...

Stało się to tak niespodzianie, że królowa, król, dwór, przerażeni zostali napaścią, i młody Władysław rzucił się już zbierać ku obronie szczupłą garstkę rycerstwa, która na Wawelu się znajdowała.

Szczęściem tylko co ukończywszy ranne nabożeństwo w kościele, biskup Zbyszek znajdował się jeszcze na zamku... W pomoc jemu nadbiegł Grzegorz z Sanoka...

Oblężenie zamku przez te gromady ludzi, było wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przybierającym rozmiary, iż niedając się pożarowi szerzyć, musiano go natychmiast zażegnać. Hocz z głównymi przywódcami szturmował do wrót, domagając się już nie kary na winowajców, nie sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi, których gmin osądził i skazał na gardło... Dopuścić raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otworzyć wrota nieustającym niepokojom...

W chwili, gdy Hocz, u wrót stał i gwałtował, po nad niemi zjawił się w ubraniu swem biskupiem, komży i stule, poważny, zimny, surowy, niewylękły bynajmniej, biskup Zbyszek.

Znano go jako męża, który nikomu ustępstw nie czynił... Hocz pod wrażeniem jego dostojęstwa, mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę... Nim się odezwał, Zbyszek

tym głosem, którym królów nawykł był gromić, począł go strofować i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili trochę swojego zuchwalstwa odzyskał, ale ta krótka chwila, w przeciagu której stał milczący z odkrytą głową starczyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć jego butę i ostudzić go...

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód sposób ten domagania się sprawiedliwości potępiając, potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż sprawa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda i ubytki nagrodzone zostały, wina ukarana...

Domagał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swojego zuchwalstwa, i zamiast ukorzyć się, domagał wydania Żupnika i Rajców, którzy się w zamku schronili.

— Tak jest, schronili się tu i nietylko ja ich pod płaszcz mój, ale kościół weźmie w opiekę i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego... Winni czy niewinni, wy nie macie prawa ich sądzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewodzcą, zaryczał, a ci co dalej stali, niewiedząc dlaczego wrzask ten powtórzyli...

Biskup mówił, nie słuchano go.

Naówczas na skinienie jego wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten poufałym tonem zwrócił się do Hocz.

— Słyszeliście słowo ojca naszego duchownego, powinno by go starczyć dla opamiętania was; ja przychodzą do was od króla, od królowej, zalecając, abyście się natychmiast rozeszli. Sprawiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król tego nie dopuści.

Chcecież, aby swoje panowanie rozpoczął od tego, by się bronił przeciw tym, co mu wierność przysięgali! Do domów! Rozchodźcie się...

Pasterz nasz, rada królestwa tego wezmą w ręce sprawę i rozstrzygną... Idźcie spokojnie...

Panowało milczenie czas jakiś, ale zdala powtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sanoka zwrócił się do Hocz.

— Pomnijcie wy, Przedborzu, że za wszystko odpowiadać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie, wyście lud ten podburzyli...

— Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywda! — przerwał Hocz.

— Wy — powtórzył Grzegorz — wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie ją wymóżyć siłą.

— A cóż będzie gdy na siłę pójdzie siła!

Hocz stąpał z nogi na nogę, biskup Zbyszek korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą.

— Idźcie w pokoju do domów! kapłańskim słowem mem, w imieniu króla zaręczam wam, iż sprawę waszą rozsądziemy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

— Do domów! — powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy chwilę upojony tłum, zwolna się rozstępować zaczął, szeptać między sobą i cofać.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się okazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak, że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos niższy, tłumaczył się, jękał...

Biskup jedno powtarzał.

— Rozchodźcie się...

I gawieź w końcu zachwiana, a otrzeźwiona nieznacznie się rozplywać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do Dorotki.

Rozchodzące się kupki kroczyły zrazu zwolna, potem coraz żywiej, gdzie kto mógł kryły się, wsuwały, nikły, tak że Hocz obejrzawszy się nie rychło, ujrzał że był z małą kupką sam jeden prawie...

Odgrajając się i mrużąc, i on więc w końcu cofnął się ku miastu...

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo...



Zaledwie się ludu pod zamkiem przeredziło, i biskup Zbyszek poszedł królowej prze-  
lękłej donieść i wytłumaczyć co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka, kazał sobie furty otwo-  
rzyć, i śmiało sam jeden wyszedł na miasto...

Potrzeba było bić żelazo gorące... zawołał na uchodzącego Hocza, który się zatrzymał.

— Chcesz li być cały, — rzekł — miej rozum i coś popsul staraj się naprawić...

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź wystąpił w spr-  
awie dobrej.

— I wy coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi, — zawołał — nad ubogimi litości  
nie macie... Bóg mi świadek sprawiedliwości tylko żądałem...

— Aleś się jej źle domagał — odparł Grzegorz. — Pięścią nie godzi się nic wymuszać.  
Gdzie ona występuje tam rozum i prawda milkną...

Uderzył go po ramieniu.

— Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali — dodał — reszta się dokona,  
gdy biskup wziął w ręce swe sprawy.

Nie dość na tem, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspo-  
kojenia gawiedzi...

Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić  
biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy...

Hocz spokorniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegł po swojej  
izbie, zagadując młodzież która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza poskoczył ku  
niemu. Oczy mu pałały.

Chociaż wierny swój lud krakowski miał przed sobą, młody pan samem prawdopodo-  
bieństwem jakiejś walki, był rozdrażniony... Gotów był się rwać, i iść bić się, nie patrząc  
z kim... Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud  
przyprować do takiej rozpacz...

Dla uspokojenia Władysława, mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić  
w żart.

— Miłościwy panie — odezwał się — gawiedzi chodzi o grosze... Sprawa pójdzie  
przed sędziów i zostanie rozstrzygnięta. Przeciwno takiemu tłumowi, czyżby rycerską było  
rzeczą występować... Połowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu cisnęła...

— A! krzyki te — zawołał Władysław — poruszyły mnie tak... Było w nich coś  
wzywającego do boju...

Kiedyż się ja doczekam tego, abym na koń mógł sięść i pójść w pole!!

— Aż nadto prędko! — odparł Grzegorz z Sanoka smutnie...

Tak spelzło na niczem to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi  
i Grzegorzowi, że młodego pana długo na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią.  
Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgorzały  
zapał, potrzeba było gasić i łagodzić.

Królowa Sonka, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość  
i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicę wrażeń i usposobień w dwu  
braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz, całą tą sprawę pojął inaczej zupełnie.

Gniew go opanował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tem, aby przeciwko  
nim wystąpić, ale się oburzał na warcholów i wołał, aby ich siłą precz rozegnano...

Dla Władysława wszystko co rokowało wojnę, było pożądaniem, Kaźmirz nie poj-  
mował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu się ścierały, ale energia  
wyrastka była milcząca... Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młod-  
szy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława jakby sobie  
radził — odparł — tłum bym kazał precz rozegnać!!

Ledwie się to uspokoiło, i przestraszeni Żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnie-  
nie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę  
do szukania środków poskromienia Spytka z Mielsztyna, Dersława z Rytwian i innych  
naśladować chcących w Polsce wybryki hussytów czeskich...

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był  
dotknięty nie tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany gwałtem.

Naręczona jego stryjecznego brata, Jadwiga księżniczka, przez Jana Krzyżanowskiego porwaną i uprowadzoną została...

Potrzeba było niedopuszczając szerzenia się nieładu, ukrócić te wybryki, aby nie zakłóciły potrzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd w Korczynie.

Biskup Zbyszek, z powodu tych wypadków nie miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie i około królowej działo...

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wnieść, że o los swoich synów zbytecznie zabiegliwa, znowu coś musiała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju przyrzekł donieść matce czem się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną.

— Każko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż! Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpowiadając, dodała.

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest mojem. Korona dla Każka się gotuje...

Z niedowierzaniem spojrział Grzegorz.

— Tak, tak, — potwierdziła królowa wesoło — Kazmierz będzie królem czeskim, wszystko jest przygotowane... Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybiorą go... Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach, Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, oni chcą mieć własnego pana...

Tak — dodała raz jeszcze — wybór Kazmirza przygotowany, pewna go jestem...

— Miłościwa pani — odezwał się Grzegorz — wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej nie stając w jej obronie... Zatem wojna...

— Tak, przewidywać ją można — dodała królowa — ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż mu przyjaznych... Obmyślałam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

— Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony, i...

Królowa mu nie dała dokończyć.

— Biskup Zbyszek? — zmarszczyła się. — Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze, gdy rzecz zostanie dokonaną, dowie się, i zgodzić na to musi...

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranymi wiadomościami.

— Spodziewam się — dodała zwracając do Grzegorza — iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Sklonił się pozwany, oświadczając gotowość. Powróciwszy do mieszkania swego, znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego.

Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę.

Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny, i więcej stworzony do podsłuchów, niż do rozmowy...

Grzegorza powaga, rozum i nauka już w podróży na nim wielkie uczyniły wrażenie i obudziły poszanowanie.

Po kilku obojętnie rzuconych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk z ręcznie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznem było, iż rad był ich charaktery wyrozumieć.

— Król nasz — rzekł mu Grzegorz — jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tem myśli i śni, mówi i marzy... Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty... Jakim będzie królem czasu pokoju... jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrzny w rozdawaniu co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

— A młodszy? — zapytał.

— Tego ja mniej znam — mówił Grzegorz — i jako o młodszym nic nie można zawczasu przesądzać. Są w braci charakterach podobieństwa i różnice. Kaźmirz więcej jest w sobie zamknięty, milczący, silniejszej woli, charakteru może będzie energiczniejszego, niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

Z nich dwu — dodał Grzegorz — nie potrzebując tać się ze swem zdaniem, bohaterstwa pewnie okaże więcej starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej, i jeśli z młodzieńczych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce, ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady!!

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

— U nas — mówił mistrz dalej, — gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo Jagiełło przez czas długi zupełnie na nich się zdawał, gdy i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodszemu by było trudniej, gdy z rycerskim panem, Władysławem zgodzą się radzcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę u nich pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkiem zajęciem.

— Zresztą, — dokończył Grzegorz — wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi... Czas ludzi zmienia.

— My wam zazdrościm — przerwał Biedrzyk — bo w Polsce panujący bez rady nie stanowi nic, a to my też u siebie mieć chcemy, Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie, wielkorządzczy sprawiają!!

Jeżeli do tego przyjdziemy, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam, i swobody nasze poręczył...

Do tego dążymy... Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom, i bylibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby z nas siła niemała.

— Ale wprzód potrzeba — odezwał się Grzegorz — abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zeszli, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk...

— Byliśmy obcych się pozbyli, w domu między bracią ład się robi. Jednej matki dziatki, nie będą z sobą walczyli, ręce sobie podadzą...

Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał...

— Przecieżeście przyjęli go i ukoronowali — zakończył Grzegorz.

Życzemy wam najlepiej, ale wierzcie mi, nie narody sobą i losami swemi, ale Bóg włada niemi...

Przyszłość on wie jeden.

## II

Gdy się to działo w kółku otaczającym królowę, po za niem nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzeniem niepokojów, jakie mu hussyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, nie miał czasu wnikać zblizka w czynności królowej Sonki.

Obóz hussycki niewielki, ale ruchawy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach przykład dano, z pod zwierzchnictwa Rzymu i duchowieństwa przewagi. Oleśnicki widział dobrze następstwa, które to za sobą ciągnęło. Najpierwszem była anarchja, która w kraju otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubę niosła.

Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się byli mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju, i zniszczenie w samych zawiązkach hussytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władzcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innemi.

Z jednej z wycieczek swych powracając do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy wprzód nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby mu się od niej pokłonił i na zamek go wezwała. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Wiadomość urzędowa nadeszła z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego, niż do innych spraw powołanego człowieka, uważał, powitał po łacinie.

— O! szczęśliwy człowiecze! Ty sobie tu *Bukoliki*, *Enejdę* i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

— Pozdrowić was kazała, i powitać, z tem przychodzę — odezwał Grzegorz — patrząc biskupowi w oczy... Radaby miłość waszą oglądać, bo ma też i nowinę pono, którąby się rada podzielić!

— Nowinę! — przerwał niespokojnie biskup... — Zaprawdę, lękam się nowin, bośmy ich syci...

— Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tem sądzić nie umiem — odparł Grzegorz.

— Mówcież mi ją, jeśliście jej świadom — zawołał biskup zaniepokojony.

— Z Pragi wieść przyniesiono pewną, że Czesi tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego Kaźmirza obrali królem sobie, i poselstwo o tem oznajmujące, wyprawić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie wielkiego niepokoju, niemal trwogi...

Zwolna załamał ręce i usta mu się dziwnie wypaczyły.

— O! — zawołał — ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom, może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!!

I jakby nie zważał na to, że z poufnym królowej sługą mówił — dodał z goryczą.

— Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani... a gotuje nam i dzieciom troski i brzemia nad siły... tak samo szalone owo małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia układała, któremu Bóg łaskaw przeszkodził, teraz nam wojnę sprowadzi dla korony, której Kaźmirz nie posiadzie...

Co tu począć z tą jej macierzyńską troskliwością!!

Grzegorz milczał.

— Czechy! Czechy! — mówił dalej biskup — zaraza! hussytyzm! herezya! Już mamy zadatki tej choroby w kraju, nad którąbym morowe wołał powietrze!! Czechy!!

Zmarszczył się biskup...

— Mówią — odezwał się Grzegorz — iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym...

— Ale my w domu mamy do zdobycia przedewszystkiem pokój i siłę, cóż dopiero za granice iść po zdobycze?... Za plecami się nam namnoży Spytków, Dersławów i Zbąskich...

Spojrzał bystro na Grzegorza.

— I wy, co pokój cenić umiecie, wy co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, zubożenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość??

— Mówiłem, że o tem sądu wydawać nie chcę — przerwał Grzegorz — królowa się cieszy...

— Niewiastą jest — westchnął biskup... — Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje... Dziecku na skronie ten rozpalony obręcz!... Załamał ręce...

Weszli razem do dworu biskupiego, i po chwili Zbyszek się uspokoił.

— Idę z wami na zamek — rzekł do Grzegorza — pozwólcie mi tylko na krótką uklęknąć modlitwę i wezwać Ducha świętego...

Znikł biskup, a Grzegorz pozostał z kapłanem jego i młodym pisarzem amanuensem Długoszem, w którego oczach bystra pojętność połyskiwała, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał zdala...

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytka, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zwłaszcza układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle być mogą przyjęte i osądzone...

Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało, i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z twarzy wchodzącego poważnie zachmurzonej, wyczytała królowa myśl Zbigniewa...

Przy niej obok stał trzynastoletni Kaźmirz, zamyślony nad wiek swój i nie wesoły, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować...

— Oto przyszedł król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym...

— Bogdajby nim był! — westchnął biskup — lecz niczem wybór jeszcze... niczem nawet koronacja, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy — przerwała królowa — cały gotowy zastęp kilkunastotysięczny, który pójdzie z nim — wskazała na syna — do Pragi, na pole boju... i wywalczy mu koronę...

Mamy — powtórzyła — dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystko!!

Biskup stał, wcale nie zdając się tem przekonany...

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł — ani krótką. Nie da on nam spokoju...

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa — Turcy mu tam grożą, bronić się musi...

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał biskup. — Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią — poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrział i wejrzenie to rumieniec wstydu wywołało na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starał jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny...

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco — szepnęła — nie odpychaj dla tego chłopca, co mu Bóg daje... Samo się to narzuca... Czechy go pragną... żądają... proszą...

Biskup nie sprzeciwiając się już, przybrał postawą człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucił brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tem — rzekł — jam jednym z rady, ale nie całą radą króla, niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy nad długą i upartą wojnę...

Dla królowej było to uspokajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa w radzie znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała.

Z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów królowa Sonka, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i datkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem im okazywanem...

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów w Radzie zasiadających, mających u biskupa uważanie i względy, ujętą była zawczasu...

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic, sojuszem ścisłym z Czechami, który skłonił do zbliżenia się ku Litwie, ciągnął ku Czechom...

Zapominano w jakim stanie zawichrzenia kraj ten był oddawna...

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomogą do uspokojenia i zjednania wszystkich Kaźmirzowi...

Miała już pozyskanych sobie i za nią gotowych przemawiać w radzie królowa, Sędziwoja Ostroroga wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna sandomirskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać...

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał. Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnym zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone... Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą.

Goniec po goncu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzono w tak śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu, Bieniasz Mokrowąs...

Królowa z radości się nie posiadała... Wielu z panów dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza, nawróciło. Biskup trwał w umiarkowanym oporze.

Znano jego niechęć dla zarażonych hussytyzmem Czechów, obawę, aby się herezje nie zagnieżdżyły w Polsce...

Panowie Rady rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nic stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w nowym mieście Korczynie, i to co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości...

Zjazd został na św. Floryan naznaczony.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królowa Grzegorza z Sanoka zamówiła, aby się na nim znajdował.

Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim śmiałego wystąpienia spodziewać mogła... Spełniał jej rozkazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za temi łowami na królestwa... Ale w nim, mimo to, miała wiernego i rozumnego sługę. Patrzył, słuchał, radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

— Wy mojej sprawy nie bierzecie do serca, ani mojej ani dzieci — mówiła przed odprawieniem go do Korczyna.

— Miłościwa pani! Na to potrzebaby, abym jasno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest istotnie z dobrem waszem i syna — spokojnie rzekł Grzegorz. — Jam ślepy, czy też nieudolny, ale nie widzę...

— Korona nie zdaje się wam pożądaną? — przerwała królowa.

Nie rozprawiając już z nim, bo go przekonać nie mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu tylko instrukcje, co miał czynić.

— Jestem prawie pewną wygranej — rzekła — choć biskup przeciwko mnie będzie. Jeżelibym się jednak zawiodła, baczcie!! i natychmiast przybądźcie dać mi znać. Znajdę środki...

Przed Grzegorzem, choć tak ostygłym, nie tała się z niczem Sonka. Lice jej pałało.

— Jeśli koronę odrzucą! tak jest, znajdę środki, aby jej Kaźmirz nie postradał?? Wojsko, ludzi, ochotników... Nie mogą mi zabronić popierania sprawy syna!!

Sprzeciwiać się królowej nie śmiał Grzegorz... Nazajutrz, z pewnym niesmakiem, wyruszył do Korczyna...

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i niedających się złudzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie...

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnem, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła...

Z tą radosną nowiną wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani...

Zwyciężyła!! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony...

Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszyli do Pragi...

Niespoczywająca na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi, wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wniknąć do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek wszystko co miała oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki...

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychaną, owszem jak zawsze tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich...

Wybrani przez królowę dowódcy, mieli trudność tylko w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem prosząc się pod chorągwie, ale pomiędzy nią trzeba było surowy wybór czynić... A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża, musiała powracać do domów nieprzyjęta, pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech...

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swą iść i zyskiwać sobie serca młodością i miłością, jaką ona obudza...

Tu, królowa nawet zachwiała się... Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie puszczono stanowczo, panowie Rady nie chcieli nawet dozwolić jechać królewiczowi. Tylko dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla jako chorągiew...

Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjść musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dnie, że królowa stawała się matką, cisnęła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją onieczulał i zaślepił, gotową była puścić syna.

Zwyciężyła w końcu matka nad królową i Kaźmirz do Czech nie poszedł...

W jego miejscu, wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności, chciał sam iść wojować... Jednomyślnie się temu sprzeciwiono...

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poetą, człowieka zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny, był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nieznaną, głos, gdy się odezwał, również nic mu nieprzypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnym. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu — odezwał się do niego — czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech?

Wszakże się nie myślę, podróżowaliście wiele?

— Tak — odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnym — podróżowałem jako jeden z vagantów, *per pedes apostolorum*.

— Przypomnicie więc sobie może wasz pobyt w Heidelbergu? — dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lauen? — zawołał podając rękę. — Nieprawdaż?

Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak! Lauen — rzekł z pewnym wzruszeniem. — Nie poznaliście ranie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w poważnym duchownym, wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni Beanów śpiewał.

— Przeszły te czasy! — westchnął mistrz — pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

— Lecz zkądże wy tutaj! — począł gospodarz. — Widzę żeście w świeckim stanie zostali, co was tu do Polski przynęcało?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć...

— Jakież stan obrałeś sobie? — wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie — mówił Lauen — a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to nieco oczy spuszczał i rumienił się, wąsy pokręcał, bąkał jakoś nieśmiało.

— Mówiono mi — dodał — że wy stanowisko zaszczytne zajmujecie przy młodym królu. Do tej pory jużbyście zaprawdę powinni byli dobić się bardzo wysokiego dostojenstwa.

— Nie pragnę go!! — żywo przerwał Grzegorz — wierz mi, że pokój i pracę nad księgami nad wszystko przenoszę.

Zmuszono mnie przy młodym królu być na usługach, lecz jest to służba nieoznaczona, nieciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tem lepiej.

— Król wasz młodziuchny, wytrawniejszych mężów rada mu potrzebna — odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to Grzegorz milczeniem zbył, zająwszy się gościnnem przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi szlacheckiego pochodzenia współluczeń, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Pewna sympatya i podobieństwo charakterów ich łączyło. Oba lubili poezyą i śpiewy...

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdaż to, — po długim przestanku zagaił Lauen, — że młodszy wasz królewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go — rzekł Grzegorz — a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie.

— Zdaje się, że się do tego przygotowują — odpowiedział mistrz — lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nie rad się mieszać.

— Jednakże codzień się one o wasze uszy obijać muszą? — pytał Lauen.

— Tak, jednym uchem wlatując, a drugim daję im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały — mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyślać, i rzekł po chwili.

— Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwałem, i stałem się próżniakiem, a bądź co bądź, zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, mielibyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjecie, a Czech się on nie wyrzeczce...

— Wszystko to może być — rzekł Grzegorz — ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, jak sądzę, lub wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowem — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach... Wstał w końcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna — rzekł — jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta, co byście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiedz?

Poruszył ramionami Grzegorz zdziwiony.

— Nie czuję się do tego powołanym — odpowiedział.

— Mówmy otwarciej — szepnął Lauen. — Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuśćmy był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

— Musiałbym się z tem odnieść albo do królowej lub do biskupa — rzekł Grzegorz — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ni głosu...

— Temu mi się wierzyć nie chce...

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mielibyście w istocie poselstwo tego rodzaju...

— Poselstwo! nie — rzekł Lauen — lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczen...

— Nie widzę środka porozumienia się, — odparł mistrz — bez jakiegoś wynagrodzenia, za tę koronę, którą nam naród ofiaruje... Będę z wami również otwartym... Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobywcy i podbojów... Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzeczce nadziei...

— Lecz i ten okup możeby się znalazł — rzekł powoli i mierząc słowa Lauen...

— Jeżeli o pieniądzach mówicie, i wynagrodzeniu niemi — przerwał Grzegorz — wiem, że one nie skuszają.

Lauen milczał w stół patrząc długo... Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnie, Niemiec dodał.

— Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Popróbowaćby należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy — wtrącił mistrz.



Zachwiały się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłanym od Albrechta.

— Ale to bije w oczy — rzekł mu Grzegorz. — Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe nie wdaję się i nie rozumiem na nich... odgaduję żeście tu, do mnie, nie dla odświeżenia wspomnień Heidelbergskich przybyli.

Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądź sobie jak chcesz! — zawołał — przyznać musisz, że niema w tem nic zdrożnego iść z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju...

— Lecz jestże on możliwy?...

Naciśnięty raz jeszcze Lauen się rozpiął nareszcie.

— Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości. Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki, spodziewa się wprawdzie jeszcze... ale najpodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych Władysław i Kazimir byliby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie, znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Albrecht by się zgodził na to? — zapytał.

— Tak sądzę — mówił Lauen — pod pewnymi warunkami. Żądałby zapewne od przyszłych zięciów sojuszu i pomocy...

Mistrzowi im więcej rozważał to, więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł.

Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie taił.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna — rzekł — nie wiem i wątpię, czy ją zdołamy przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto... Zatrzymaj się tu, spróbuję.

Nie będą jednak taił przed tobą — dołożył — że przywiezienie jej tutaj, w chwili gdy wojska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiacie... Jeżeli to uderzy innych jak mnie!

Lauen się zmięszał...

— Cóż pocniemy? — zapytał.

— Myśl ta od was by wychodzić nie powinna — dodał Grzegorz...

— Poddajcie ją sami...

— Nie mam ani powodu, ni podstawy... Z tem wszystkim — odezwał się mistrz po namyśle — pozostawcie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się... będę ważył i próbował...

Podali sobie ręce...

— Tak — rzekł Lauen wzdychając — nie mylisz się, potrzebujemy nietylko pokoju ale posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

— Idź do gospody — odparł Grzegorz — i milcz...

Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną sojuszu nadzieją, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego poprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kazimir młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nie licząc młodzieży rówiesnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie.

— Miłościwa pani! po co by to nam ta wojna i zapasy. Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwu młodzieńców, posłaćby w swaty, razem z oblubienicami dwie korony by przyszły!!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, niebyłoby to złem, ale córki młode, i oni młodzi, nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba... a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą.

Zresztą niewiadomo czy Albrecht by zgodził się na to...

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

— Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawił.

Zdradził się temi słowy, postrzegł to sam, chciał poprawić, zawikłał.

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni, królowa matka, która o królestwach dla synów roiała tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała danym znakiem Grzegorza do siebie. Nastąpiła na

niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nieumiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiała, gdy o synów chodziło i o zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa, a dowieść mu jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, aby Laueną nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciała mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby on z kim innym o tem jak z nią nie mówił, była zazdrośną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większą stawiała się potęgą Zbigniewa biskupa, tem ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegliwością swoją i niezmordowanymi staraniami.

Lauen zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznymi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciała królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem... Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskim sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stanęło na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał.

Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa... Poza plecami jego, królowa wszystko mogła przygotowywać, ale bez niego dokonać nic nie godziło się jej, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl — rzekł — jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacyi w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru...

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spelzły na niczem, i Kaźmirz pozostał w domu, a wysłane wojska daremną odbyły nie bez strat wyprawę...

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż za ledwie jedno spelzło na niczem, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał ręczo...

Nadszedł rok 1439...

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Rascyi (Serbii), Albrecht nagle zachorawszy umarł...

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona Elża, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom; ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrziała.

Utrzymywała zawsze Sonka stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów...

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy ztąd już wierni królowej słudzy lecieli na Węgry...

Spelzły wybór Kaźmirza w Czechach, potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohatera...

Królowa nie tała przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrov był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a Władysław król młody sam z taką niepohamowaną żądzą boju wyrwał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała: Idź i walcz!!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójda wojować z pogany...

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie Rady z chłodnym rozumem, rachubą i rozważą, prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania.

Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry...

Królowa matka, po niewieściemu widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić z nią samą Władysława...

Elza miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwym, dlaczegóż po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być zaswataną??

Wszystko to roztrząsało się gorączkowo, pospiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony tej nie ważyła...

Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milczano. Znaczna też część panów pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa...

Młody król byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić...

On, dwór jego, mnodzy pochlebcy, całymi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania...

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążyło...

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu, w duszy znajdował go może pożyteczniejszym, niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę...

Ale tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najebrane i ujarzmione wołały o ratunek...

Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucjata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszaniu...

Świadek mimowolny tego zaprzętienia, wśród którego nikomu niewolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę, zaczynał trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozważa we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniej u boku młodego zapaleńca. Z góry więc już postanowionem było, że mistrz jako kapelan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcji nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnem w duszy przecuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami, Hocz wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan, spodziewał się zająć miejsce na Ratuszu... Balcerowie byli spokojni... Tu życie płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż niedosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu.

Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać, obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczyniała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz jak zawsze...

— Widzicie jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi a ludzie niekontenci z niego.

— O jakiejże to drodze mówicie? — zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego płatanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi — mówił Grzegorz. — Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę...

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Zaprawdę wybranym będzie — przerwał Grzegorz — już dlatego, że królowa tam ma i wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczna, a w końcu, że mnie niemiła...

Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!!

Frączkowa lzy też miała w oczach...

— Uwolnijcie się od tego dworu — szepnęła.

— Sumienie nie pozwala — rzekł Grzegorz — królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce... Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!!

— Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec niosący koronę...

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu, wszedł we wrota z wieścią pożądaną...

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Miał zaślubić wdowę po Albrechcie.

### III

Wesoło, huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie... Królowa Sonka odmłodziła, wszystko zdawało się skończonym szczęśliwie.

Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie Władysława...

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nadewszystko urokiem mowy i oczu, obejściem się z ludźmi umiejącą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta służyła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła...

Nie mogło one jednak wprzód przyjąć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele... Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem...

Ci co z Węgier przybywali, nim poselstwo pospieszyło, co innego opowiadali przed królową, inaczej szeptali po cichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakim bądź sposobem uchronić.

Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwym, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krępowany nawykniem posłuszeństwa matce i biskupowi...

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać w świat i pełną piersią oddychać... Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać...

Okolo zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan biskup Segedynu, Taloš ban sławoński, Emeryk Marcelli marszałek dworu, i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świętego orszaku, wyjechał w imieniu brata Kaźmirz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się, kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunasu młodzieży, której przewodził Michał Orszag, pięknej i bogato przybranej, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie pożądał, unikał ściągnięcia na siebie uwagi, mógł się tem lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który poczynał być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareszcie mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzałszym był daleko niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybciej, a w tym roku osiągnięta pełnoletniość, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym.

Nic dziwnego, że korzystacby był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia się, to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali.

W młodym panu rodziło to chętkę oporu, i pewną niecierpliwość. Przybycie posłów pochlebiało dumie z początku, po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozszluchał i rozpatrzył król, choć nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakiegoś zafrasowania i zniechęcenia.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały...

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych, pozostał z nim i Ryterskim marszałkiem dworu, a nieodstępniemi prawie towarzyszami królewskimi Mikołajem Strzegomią Chrzóstowskim i Nekandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania... Król więcej słuchał niż mówił. Czasami, gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posepniał i milczał.

Z tych co z królem byli, pozostał naostatek tylko marszałek dworu Ryterski, ten sam którego niegdyś młodemu synowi Jagielly kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana nie odznaczał się niczem, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa, i spełniał ich wolę. Własnego nie miał zdania.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał marszałka, chciał i Grzegorz z Sanoka odchodzić, bo godzina była spóźniona, król dał mu znak aby pozostał.

Byli sami, Władysław, jakby się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się pary razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? wy mi dobrze życzycie? — zawołał stając naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając — nieprawdaż?

— Miłościwy panie!! — odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

— Ja wierzę w to — rzekł pospiesznie Władysław — i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?!

Popatrzył na Grzegorza.

— Każą mi się żenić z Elżką, któraby matką moją być mogła — dodał król — z kobietą, która, wiem to, wcale mnie nie chce... Dwoje dzieci! trzeciego się spodziewa!!

Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić, ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo, i innego nie pożądam!!

Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowi i przewagę tam mający Dyonizy kardynał biskup Ostryhomski, ban kroacki Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly, są przeciwko mnie... Tej korony ja się będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom!!

Zamilkł patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To co mówił król, on też myślał, ale królowa i biskup Zbyszek nawet, sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla, on sam królestwem rządzić będzie. Nawyknienie do rozporządzania wszystkim, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadło, na tę niespodzianą objawioną niechęć króla, odpowiedzieć potakiwaniem. Lękał się... Z tem wszystkim była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, coby z nim wchodzili w układy.

Rzekł więc po krótkim namyśle.

— Miłościwy panie... ja wcale temu co mówicie nie przeciwię się — ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawicie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszność! — zagadnął król zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak, są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie znam się i sądzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci co patrzą z góry, co interes krajów więcej ważą niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpiwością jakąś król dodał poufalej.

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci... A jeżeli królowa następcę męzkiego na świat wyda??

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tem — rzekł — że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgry od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony... Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? — co znaczy małżeństwo! osobiste względy i... ofiara?...

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle — dodał król. — Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem polskim poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą??...

— Miłościwy panie — przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciążyła. — Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć...

Zmieształ się nieco młody pan.

— Mój Grzegorzu — rzekł — ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni — matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodszego jeszcze niż jestem... za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zważać nie będzie na to co powiem.

— Tak — odezwał się Grzegorz — raz pierwszy gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim, zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano...

Tymczasem korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie! nie! — rzekł namarszczony Władysław — ja się żenić z nią nie chcę... Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożeniecie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę!! nie ożenię!!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył, i dodał.

— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie!! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz jak ja?

Wydartej dziecku i kobiecie korony nie chcę...

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana, taką radością napelniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak — powtórzył król. — Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry... Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami... Ojciec św., cesarz Paleolog... Włosi nalegają, pójdziemy bronić chrześcijaństwa...

I wy ze mną? — dołożył pospiesznie w końcu.

— Na cóż się ja tam przydam? — wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje...

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń...

— Ze wspaniałym i dzielnym wyruszymy orszakiem — począł. — Tak pięknego, tak uzbrojonego wojska jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały... Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili...

Widzieliście moich przybocznych... moich druhów i towarzyszków! Co to za zastęp żelazny!! Co za konie! rynsztunki, zbroje, rzędy i oręż... A! gorączka mnie porywa, gdy myślą o tem... W pole! w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz.

— Widzicie miłościwy panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

— A! tak — zawołał król nagle smutniejąc — ale gdy pomyślę o ożenieniu, o sierrotach, o przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz! wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego!

Wzdrygnął się młodzieniec...

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyły mu oczy... Inaczej poglądał teraz na swojego wychowanka...

Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko, objawił mu się w nim człowiek...

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzedz w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa Segedynu ugaszczal Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego, wystawując mu całego chrześcijańskiego świata potrzeby i pokładane na Polsce nadzieje.

Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgrom.

Gdy się to działo, a Grzegorz nasz zawsze stojąc na uboczu, nie mięszał się czynniej do dwóch obozów, które się na dworze zarysowywały, królowa matka zagadnęła go wieczora jednego, zobaczywszy milczącego w ciemnym kątku...

— Wybadajcie Władysława, chmurzy mi się, co mu jest? Radabym go widzieć szczęśliwym. Idzie wszystko po myśli? Nie wiecie przyczyny dlaczego mi dziecko posmutniało?

— Miłościwa pani — odparł ośmielony mistrz — może dlatego, że się już nie czuje dzieckiem...

— Co to znaczy? — przerwała rumieniąc się Sonka...

— Wy jako matka możecie go wybadać, jam obcy — dodał mistrz.

— Nie wiecie o niczem? — spytała królowa.

— Domyślam się tylko, że młodemu panu, szlachetnego serca, nie chce się może, starszej od siebie wdowie, mającej dzieci, narzucać za pana i męża? Między Węgrami krążą wieści, że wdowa zmuszona tylko przystała na podzielenie się koroną, mogło coś dojść do króla... Pytajcie go! — rzekł Grzegorz z Sanoka.

Królowa łatwo się niecierpliwiąca, pokraśniała słuchając i uderzyła nogą w posadzkę...

— Plotą niechętni baje! nie może to być, aby Elża go nie chciała! Jest-że na świecie kobieta, któraby Władysława mogła odepchnąć!

Piękniejszego, szlachetniejszego króla nie ma na ziemi. To perła!

— Tak, miłościwa pani, lecz dzieci matce od pereł są droższe, a wy to wiecie najlepiej. Zadumała się królowa Sonka.

— Wy go wybadajcie — rzekła.

— Nie mam prawa ani umiejętności po temu — odezwał się Grzegorz. — Za złyby mi wziął mięszanie się do spraw...

Z niechęcią ruszywszy ramionami królowa odstąpiła krok i wróciła nazad.

— Więc i wy zapewne słyszeliście — rzekła — co ta gawiedź węgierska plecie... Ale to gawiedź i ciury! Ani biskup Jan, ani Orszag, ani poważni posłowie nigdy o tem nie wspomnieli.

— Nie mogli mówić przeciw sobie — dodał Grzegorz.  
— Wy w to wierzycie? — przerwała królowa.  
— Mnie się zdaje prawdopodobnym, że matka broni interesu dzieci! A jeżeli syna wyda na świat?

Nie doczekawszy końca, Sonka zawołała gwałtownie.

— Nie może to być! Nie może! Miała dwie córki! Syna mieć nie będzie...

Mimowolnie uśmiechnął się Grzegorz...

Królowa Sonka jak zrażona, odstąpiła dumnie, rozmowy już nie przedłużając. Grzegorz się usunął do swojego kąta.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanym wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup Jan Segedyński jeden utrzymywał zawczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława... Przewidzianem to było i przeznaczonem dla niego dział austriacki i Czechy... Polski król miał pozostać razem węgierskim...

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż wołając o hasło dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna już upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dwora Ryterskiego, a ten z listy i słownem doniesieniem, wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony śleczył nad księgą.

Ryterski przychodził w niepewności co czynić miał, spytał mistrza, czy wypadało budzić królową dla posłańca z Węgier.

— Miły panie — rzekł wstając z za pulpitu mistrz — jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie, jeżeli złe, nie spieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie.

Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżymnął ramionami.

— Narodził się pogrobowy syn Albrechtowi!

— Syn! — wykrzyknął Grzegorz. — Nie macież po co budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno radzić na to...

Jednym z pierwszych więc Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekorę sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca...

Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień komornik króla, który o brzasku, wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie, przybiegł do Grzegorza. Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannem ubraniu, z twarzą wesołą.

— Wiesz — zawołał — Elża ma syna!! a ja doskonały sposób wycofania się. Dziecku jej nie mogę odbierać korony...

— Tak, miłościwy panie — rzekł mistrz — ale w układach, które przywiózł biskup z Segedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki!

— Nie chcę ich! — przerwał król — nie chcę!! Nie mogę!

Zaledwie zamienili słów tych kilka, gdy królowa Sonka w sukni zaledwie narzuconej i chuście na głowie, ukazała się we drzwiach.

Oczyma zmierzyła ich obu. Grzegorz cofnąć się chciał, król skinął aby został.

— Elża ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie... Ale to nic nie znaczy... nic...

— Owszem, dla mnie to znaczy bardzo wiele — śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza jakby go na pomoc wzywał. — Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę.

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości ludzie, a nadewszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać — rzekła ostro — powinni dotrzymywać słowa!!

My i ty, przyjęliśmy warunki przywiezione przez posłów... Ten dzieciak weźmie sobie księstwo Austrii, no i Czechy! — dodała z niechęcią — a ty koronę węgierską!!

Młody król zamilkł, lecz twarz jego się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki, nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawić będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił.



Przeszła się milcząca po izbie i z kolei ona też zwróciła, jakby w pomoc powołując Grzegorza z Sanoka.

— Powiedzcież wy królowi — odezwała się — że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też powiedzieć muszę, że szlachetnego jego miłości uczucia dla sieroty i wdowy, żaden człowiek nie potępi...

— Co za wdowa, jaka sierota? — wybuchnęła Sonka. — Powinna się czuć szczęśliwą, iż takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyma! Nie ma się co użalać nad jej losem, ale go chyba zazdrościć!!

Na to namiętne wystąpienie królowej, trudno odpowiadać było, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana...

Od rana dnia tego na zamku rozpoczęły się bieganie, powoływanie rady, wyprawianie posłów... Panowie zjeżdżali się na zamek. Królowa wezwała swoich, Sędziwoja Ostroroga i Jana z Koniecpola.

Biskup Zbyszek z gościem swym biskupem Janem, znaleźli się po mszy na pokojach. Nadbiegli i inni posłowie.

Król zagadnięty przez Oleśnickiego, odważnie mu oświadczył, iż korony nie chce, że ona mu wstręt czyni wydartą sierocie...

Zmarszczył się Zbyszek, lecz nic nad to odpowiedzieć nie umiał, że na pierwszym względzie była obrona przeciwko niewiernym, a spadek pogrobowca na szalę z nią iść nie mógł.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzód widzieć i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać.

Pomimo to, w pierwszej chwili podzieliły się zdania.

Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu, i szli za nim, inni z królową i biskupem...

Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada...

Na Węgrach widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nietylko utrata posiłków, jakich się w rycerstwie polskim spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elży i tych wszystkich co z nią i Cillym Ulrykiem trzymali.

Powstały lamenta i najgwałtowniejsze odwoływania się do zawartych umów...

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka ani biskup niechęci jego do tego małżeństwa przełamać nie mogli. Unikał nawet mówienia o tem.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sanoka, o którym wiedział, iż blizkim był młodego króla.

— Wpłynięcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adryanopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim...

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płuche względy — rzekł — krzywdą się nikomu nie stanie... Warunki przyjęte zostały.

— Ja na króla wpłynąć nie potrafię — przerwał Grzegorz — to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy...

Z tem odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nieporuszony w swem postanowieniu...

Królowa widząc, że inaczej go nie pokona, rzuciła się w inną stronę.

Zwołano rówieśników i towarzyszy króla, Tarnowskich, Tęczyńskich, Zawiszów. Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkiem sercem... Im poleciła Sonka, aby króla nawracali...

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuconemi twarzami i utyskiwaniami swych rówieśników, król począł żałować tego, że na wojnę przeciwko niewiernym nie wyjdzie...

Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, któryby dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać...

Ta wojna z niewiernymi, która krucyatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławioną, zwyczajką, miała tyle dla młodych uroku...

Grzegorza z Sanoka nie powołał już król do siebie.

Węgrowie tymczasem nie tracąc chwili jednej, zabiegali na wsze strony. Doniesiono im o panach, którzy odradzali przyjęcie korony, udali się do nich, jednych błaganem, drugich ujmując obietnicami.

Sam biskup czynnym był wielce i gorliwym. Niektórzy w Radzie dali się jego powadze ująć, inni zamilkli...

Zbierano się razy kilka, rozchodzono z niczem. Król milczał. Stronnictwo jego zmniejszało się, królowej rosło... Nie starając się syna przekonać, Sonka znajdowała stosowniejszym zyskać Radę i jej zdaniem zmusić króla do przyjęcia korony.

Wszystkie więc zabiegi skierowane były ku tym, co jak Jan z Tęczyna i kilku poważniejszych, króla dla siebie mieć chcieli, a Węgier się wyrzekali. Ci wkrótce pozostali w zmniejszającej się coraz garstce... i odzywali coraz słabiej, mniej głośno. Stronnictwo królowej przemagało...

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga postu niedziela...

Pod niebytność króla, w końcu na Radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie.

Oznajmiła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wolą było wszystkich, zdaniem Rady, aby umowa utrzymana została.

Zmarszczony, milczący, Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nic tu nie ważą! — odezwał się.

Z pieszczotliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodą, zbliżyła się matka...

— Będziesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym!! — zawołała. — Szczęście królów jest w ich potędze... i w błogosławieństwie ludów, a ciebie niejedyn naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie... Co dla ciebie znaczy ta kobieta!! — Ruszyła ramionami...

Nazajutrz powtórzyło się zrana to samo z biskupem i przedniejszymi panami Rady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął...

Władysław był piętnastoletnim dzieckiem rycerskim.

Daleko silniejszej woli i charakteru człowiek uległby był może takiemu naciskowi, natarczywości, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom... Smutny, zawstydzony własną słabością król milczał, nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta rozpuszczona po mieście, zламаła tych, którzy popierać chcieli Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem... a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się jakoście chcieli pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje, bogdajbyście kiedyś nie żalowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczepu najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!!

Nazajutrz była to druga postu niedziela, jakby chciano postanowienie uczynić nieodwołalnym, biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo. Biskup Jan z Segedyń, wszyscy posłowie węgierscy, mnogi tłum ciekawością ściągniętych ludzi, nappełnił świątynię. Król młody, królewicz Kaźmirz, królowa matka, dwór świetny i liczny, znajdowali się, przytomnością swą uświęcając ogłoszone korony przyjęcie...

Z kościoła wprost wszyscy szli do sali białej na zamek, gdzie król na tronie miał przyjmować węgierskich posłów... Wcisnęli się do niej i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzyć mieli, dać im nie można było...

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał.

To niespodziane ukorzenie się, wzruszyło króla. Powstał z tronu, bledniejąc i rumieniąc się naprzemiany...

— Bóg mi świadkiem — zawołał podnosząc oczy — iż nie dla żądy panowania, nie dla ziemskich widoków, przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary...

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapal rzewny a smutny, brzmiało to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej zdala na podwyższeniu, łzy się w oczach zakręciły...

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły jakimś przecuciem bolesnym... W głosie króla brzmiało jakby jasnowidzenie męczeństwa i poświęcenia...

W takim uroczystym ducha podniesieniu, po cichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero Węgrów zapal, radość i wdzięczność wybuchnęły.

Biskup Szegedyń nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjąwszy młodzieży, rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero gdy młodego króla postradać mieli nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkiem będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z niemi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządu, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanem...

Trwać więc miało bezkrólewie owo długie... bez końca.

Młodzież tylko widziała w tem wszystkim zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomędzy nią panował zapal nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowiadaniem o kraju swym, jego bogactwie i piękności, podsycali.

Król nawet z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłumaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu — rzekł łagodnie — nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żenić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej, pomimo przynaglania i pośpiechu, nie mógł się tak obyć skoro, jak żądano. Każdy z panów, z Tęczyna, z Koniecpola, ze Szczekocin, brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rynsztunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach zbierać, ściągać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie Węgom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier. W pierwszej chwili dla powagi, dla układów, dla zabezpieczenia się na przyszłość, biskup Zbigniew był koniecznym.

Sam on zgadzał się na to, aby króla odprowadzić do Budy, tembardziej że i on i królowa, choć taili się z tem, wiedzieli dobrze, iż Elża królowa nie chciała znać narzucanego jej męża, i siłą tylko wymożono od niej zezwolenie na małżeństwo, z warunkiem gdyby nie miała syna.

Nie było wątpliwości, że wydawszy go na świat, tembardziej oprze się wyjściu za mąż.

Biskupowi miał towarzyszyć dziekan krakowski Lasocki i podkanclerzy Piotr ze Szczekocin. Jan z Tęczyna wojewoda krakowski, Przedbor z Koniecpola kasztelan, Wincenty z Szamotuł, Hincza z Rogowa, Mikołaj z Brzezia marszałek, Łukasz z Górki, wyznaczeni byli do orszaku poważnego, nie licząc młodzieży najpierwszych domów, najstarszych rodów... Węgrowie naglili o pośpiech, o wyjazd, słusznie się lękając, aby zabiegliwa królowa nie zyskała sobie przyjaciół, nie utrudniła królowi objęcia rządów.

Tymczasem spiknęła się przeciwko pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie przychodząca wiosna, która to się obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach i deszczach chwytaly mrozy silne... Podróż zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych i strumieniami a rzekami poprzerzynanych, stawała się, niepodobieństwem.

Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano za znak z nieba i przestrozę, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

W istocie przeszkody do podróży się mnożyły. Z Litwy nadeszła wieść o zamordowaniu w. księcia Zygmunta, którego na Wilnie potrzeba było zastąpić nowym wielkorządcą, a dwa wrogie sobie obozy kraj dzieliły na nieprzejednane zastępy, występujące do walki.

Królowa Sonka pamiętna zawsze, aby los synów zabezpieczyć, natychmiast powzięła myśl usunięcia obu stronnictw, a wysłania tam Kaźmirza, któryby w imieniu brata Litwą rządził. Nie mówiła o tem w pierwszej chwili, ale mając w Litwie przyjaciół i stosunki, znając ją dobrze, potajemnie wyprawiła swoich ludzi, aby namawiali Litwę do wezwania i dopraszania się o Kaźmirza.

Ponieważ współcześnie prawie mazowiecki książę zajął dawniej posiadany Drohiczyn, i obie te sprawy wymagały pilnego czuwania, król w początku spróbował niemi się od Węgrów uwolnić.

Lecz nie dała mu królowa mówić o tem nawet. Wszystko było w gotowości, panowie mający towarzyszyć ponieśli wydatki znaczne, podróż była zapowiedziana, cofać się nie godziło.

Nie brakło ludzi, co zastąpić króla mogli.

Wszystko zdawało się w pomoc przychodzić Władysławowi, aby go uwolnić od korny, lecz zapóźno...

Gонец nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tem, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austriackimi, mająca z sobą Cillego i Garę, posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny...

Za węgierskimi posłami w ślad jadący do Elży Polacy Sędziwój Ostroróg i Jan z Koniczyna, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przezornie zawrócili się z drogi, nic nie sprawiwszy...

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo że to byli jej pomocnicy i przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ulękli, dowodziła, że jechać do Komorna, bądź cobądź byli powinni, i starać się przekonać królowę Elżę...

Znowu na parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się, dowodząc, iż wszystko się składało przeciwko podróży... Węgrowie przy swoim stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem ulęknąć się i nie strzymać słowa. Wprawdzie królowa Elża siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszem, król prowadził z sobą wojsko, Węgrzy, którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jedna cała, która niedawno zdawała się pochodem zwyciężkim, teraz już jawnie zapowiadała walkę o koronę...

Biskup Jan Szegedyński zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się tylko, aby sobie wszystkich pozyskać... Toż samo powtarzała królowa matka, a rycerstwo otaczające króla, domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło...

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała... Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach, o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy, czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko tak, jakby jutro miano w imię boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwiąca się i pożądaną, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży...

Wiosna nie przychodziła.

Natomiast usłużne gońcy od granic, codzień przynosili nowe wiadomości o królowej Elży, która z Cyllym Ulrykiem, Garą i Austriakami, sposobila się stawić opór i odwoływała

do pomocy cesarza Fryderyka... Utrzymywano, że Cilly w pięćset koni już był się wyprawili zająć Budę dla królowej, gdy go Szymon Rozgon biskup uprzedził.

Rzeczony, że na wszystkie strony rozsyłała królowa z listami, obietnicami, i korystała z czasu, aby polskiemu wybrańcowi zatamować drogę.

Nie mówiono o tem głośno w Krakowie, wcale przeciwnie puszczając pogłoski. Niemniej wiedział biskup Zbyszek i królowa, że układy, na które pozornie tylko Elża przystała, zerwane przez nią zostały.

Można było przewidzieć, że powrót do Polski nie nastąpi tak rychło. Ostatnie dni zajęło wyznaczanie wielkorządców. Przy królowej w Krakowie, po usunięciu Pileckiego, panem krakowskim i starostą został Jan z Czyżowa, do Wielkopolski jechał dawny marszałek dworu królowej, oddany jej i synom Wojciech Malski.

#### IV

Wojna o węgierską koronę była, powiedzieć można, walką dwóch matek, dwóch królowych o losy ich dzieci. Sonka i Elża stały naprzeciw siebie, a królowa polska oddalona od miejsca, w którym dramat się miał odegrywać, potrzebowała większego wysiłku, przebiegłości, czuwania, niż Elża wdowa po Albrechcie, mająca za sobą i prawo spadku i znaczną zmarłego męża gromadkę przyjaciół, którzy przy niej spodziewali się panować, opiekując dziećmi...

Posłowie do Polski wyprawieni, biskup Szegedynu, Talloczy, Peren i Marczalli zapewniłi w Krakowie wybranego przez siebie pana, że wdowa zgodziła się wyjść za niego, zamierzeli wszakże, iż do ostatka kładła za warunek, jeśli syna nie miała, a głos jakiś proroczy mówił jej, że Bóg da syna!!

Około niej skupiali się wierni, hr. Ulryk Cilly bratanek, Gara i wielu innych austriackich szczególnie panów. W Czechach też jednała sobie zwolenników i poparcie miast niemieckich.

W końcu roku 1439, królowa przebywała w Wyszehradzie. Towarzyszyli jej tu biskup Raabski Benedykt, wojewoda Losoncz, sędzia nadworny Stefan, hrabia Franciszek Csak, Stefan Rozgon, Peren i wielu innych panów, którzy wierni jej pozostali. Korona poświęcona królewska znajdowała się w skarbcu. Szło Elży, aby ją miała w ręku... W przytomności panów otworzono skarbiec, złamano pieczęcie pudła w którym spoczywała i wyjęto koronę. Złożyli ją potem przytomni w osobnej skrzynce, razem z mniejszą koroną królowych, a Elża wydała świadectwo hrabiemu Bösing, iż insignia odebrała.

Ale zaraz następnej nocy kosztowny ten klejnot znalazł się w niebezpieczeństwie. W tej samej izbie, w której korona złożoną była, spała królowa z dwójgim dziewcząt służebnych, Węgierką i Niemką. Przy łóżku królowej, wedle zwyczaju paliła się świeca, która spadła na skrzynię, zawierającą obie korony, i poduszki aksamitne na nich już płonęły.

Szczęściem przebudziła się stara, wierna sługa, Kottanerin, i pożar ugasiła...

Ale nazajutrz z obawy o poświęconą koronę, nazad ją do pudła w skarbcu złożono. W kilka dni potem niespokojna o zamek, królowa klucze odebrała hr. Bösing i oddała je stryjowi Władysławowi... Ten nazaczył od siebie burggrafa, i razem z królową odjechał do Budy.

Koronę mniejszą zachowała przy sobie królowa, a drzwi od skarbcu na Wyszehradzie dla bezpieczeństwa Gara chustą zawiązawszy opieczętował. Z Budy odjechała królowa do Wyszehradu, a Cilly Ulryk doradził jej, aby w jakikolwiek sposób koronę poświęconą dostała.

W pierwszych dniach stycznia, królowa znajdowała się już na Wyszehradzie. Mieszkała w dolnym zamku... Nie chciała się ztąd oddalić, chociaż mniej się tu czuła bezpieczną, choć Cilly i Gara doradzali przeniesienie się do Komorna, dlatego tylko, że tu miała na zamku, w skarbcu tę koronę królewską, której strzegła...

Bez niej, choćby chciano w Budzie koronować polskiego króla, obrzęd nie mógł przyjść do skutku.

Tymczasem stan zdrowia Elżbiety, wymagał bezpiecznego miejsca, w któreby słabość przebyła. Nalegano na to, aby się przeniosła do Komorna.

Królowa nie chciała myśli swej zwierzyć nikomu, bała się oddalić od korony.

Swoją, którą sama koronowaną była, miała już w ręku. Leżała ona ukryta pod łóże-  
ciem córki jej Elży...

Korona królów zamknięta leżała w skarbcu.

Tę koronę, tę koronę, którą jej spodziewanemu synowi wydrzeć chciano, musiała  
dostać królowa!!

Zmuszono ją niemal do przeniesienia się do Komorna, królowa jednak pozostawi-  
ła w Wyszehradzie swoją żeńską służbę. Miała plan już osnuty... Koronę wykraść było  
potrzeba!!

Do starych wiernych sług Elży należała Niemka Helena Kottanerin, kobieta prosta,  
pobożna, niezbyt przebiegła, ale oddana jej cała, taż sama, która już raz od ognia ocaliła  
insignia...

Nikt w niej nie mógł się ani domyślać nawet narzędzia, które posłużyć miało do wy-  
dobycia klejnotu tego z Wyszehradu, zapewniającego oczekiwanemu synowi panowanie!!

Królowa chora, blada, spłakana, chodziła ręce łamiąc.

— Heleno moja — szepnęła dnia jednego z gorączkowym wysiłkiem do starej sługi  
— ty musisz mi usłużyć, ty jedna możesz...

— A! jabym za ciebie życie dała, królowo moja — odparła Niemka podnosząc zapra-  
cowane ręce — ale cóż ja mogę.

— Pan Bóg pomoże! Opieką swą osłoni cię patronka moja Elżbieta, której relikwie  
złożone są w kaplicy na Wyszehradzie — mówiła królowa z gorączkowym pospiechem.  
— Pojedziesz po dziewczęta moje, pozostałe w Wyszehradzie... Mieszkają na zamku... tuż  
przy izbach, które zajmują, jest wnijście do skarbcza... Zamki potrzeba wyłamać! koronę  
królewską trzeba dostać i przywieść tu, aby tego króla cudzego ukoronować nie mogli. Ja  
ją mieć muszę!

Kottanerin przelęknęła się srodze i drżeć zaczęła.

— A jakże ja tego dokazać potrafię!

— Wezmiesz wiernego sługę do pomocy... wybierz sobie kogo chcesz — kończyła  
królowa obejmując ją białymi rękami. — Drzwi są opieczętowane, dam ci małą pieczęć  
moją, abys ją przyłożyła na nowo. Nocą wyłamać zamki łatwo... A! tę koronę, tę koronę  
mój syn... bo ja muszę mieć syna, winien ci będzie!!

Szaloną myśl, którą tylko miłość matki natchnąć mogła, raz powziąwszy, Elża nie  
chciała się jej wyrzec. Z chorobliwą natarczywością zmusiła niemal przerażoną Kottanerin,  
aby zgodziła się na wykradzenie, i wyprawiła ją natychmiast...

Miesiąc zaledwie upłynął od przeniesienia się do Komorna, gdy Niemka dobrawszy  
sobie pomocnika w prostym ale odważnym słudze, który miał jej towarzyszyć, dnia jed-  
nego rano bardzo puściła się do Wyszehradu, modląc przez całą drogę...

Było to w styczniu, sanna trzymała jeszcze, Dunaj okryty był lodem... Magyar, człek  
silny i pewny, wiedział co miał do spełnienia w Wyszehradzie, ale się wazył, spodziewając  
nagrody od królowej. Zabral z sobą na zapas zamki, aby mieć czem połamane zastąpić,  
pod suknią je krył, a w buty pochował pilki i pilniki.

Przed wieczorem stanęli na zamku. Kobiety królowej i mała Elża, księżniczka szlązka,  
pozostawione tu same, znudzone, stęsknione, powitały przybywającą po nie Kottanerin  
z niewymowną radością.

Stara oświadczyła im, że królowa ich potrzebuje i natychmiast kazała się gotować do  
podróży nazajutrz. Mnóstwo rzeczy miały zabierać z sobą, pospiesznie więc zaczęto szukać  
desek i zbijać skrzynie.

Przygotowania te trwały do ósmej wieczorem, na zamku chodzono, krzątano się,  
stukano, pakowano; pełno było ludzi i nic poczynać nie mogli. Obejrzał tylko Magy-  
ar miejscowość, obmacał drzwi opieczętowane. Wsunął się do izby dziewcząt, żartował  
z niemi, śmiał się, swawolił, a tymczasem rozmyślał co ma robić.

Sam on z pomocą słabej i przestraszonej kobiety, nie mógł temu podolać, poszedł  
więc szukać pomocnika dobrej woli i znalazł go w prostym parobku, którego związał  
najuroczystszą przysięgą.

W jednej z izb miały spać dziewczęta królowej, tuż obok w drugiej Kottanerin. Z tych  
drzwi prowadziły do skarbcza opieczętowanego. Z drugiej strony przez sień była zamkowa  
kaplica.

Zima była ostra, izby potrzebowano opalać dobrze, przynoszono drewna, i Magyar, dosyć nieostrożnie przywiezione pilniki wetknął tymczasem pomiędzy drewna przy kominie. Służba, która drwa zносиła, dobyte je na wierzch!!

Sługa zobaczywszy to, zbladł jak trup, ledwie mógł chowając je gdzieindziej, przemówić do Kottanerin.

— Na miłość Bożą, starajcie się, aby nam światła nie zabrakło! Świec potrzeba!

On i stara Helena, chociaż nie wyrzekali się myśli wykradzenia korony, najniezgrabniej się brali do tego, ale może właśnie dlatego nikt ich nawet o nic nie posądzał...

Była to sobota, wigilia przed niedzielą zapustną. Do posług miała Kottanerin z zamku starą babę, która po niemiecku nic nie rozumiała, ospała była i ograniczona... Od tej zażądała, aby jej dużo świeczek dostarczyła, bo wieczorem ma bardzo długie do odmawiania modlitwy.

Ale dostawszy świece Kottanerin, niespokojna i tchórzliwa, postąpiła z niemi tak, jak jej towarzysz z pilnikami, schowała je gdzieś, zapomniała gdzie i znaleźć potem nie mogła... Wszystko się zdawało składać jak niefortunniej.

Dziewczęta pakowały zbyt długo swoje gałganki i Kottanerin musiała w końcu kazać się im spać kłaść co rychlej. Zmęczone, szczęściem, pokładły się w drugiej izbie, wkrótce się pospały...

Baba posługująca położyła się w izbie Kottanerin, ale tej się nie obawiała, bo wiedziała, że sypia twardo.

Nadchodziła noc. Naostatek Magyar, który miał korony dobywać, przyszedł po cichu pode drzwi od kaplicy i zastukał.

Oczekująca na niego Helena, wstała, otworzyła mu i drzwi za nim zasunęła... Mogła się przestraszyć, bo prowadził z sobą namówionego parobczaka, o którym wcale nie wiedziała...

Zaręczył jej, że poprzysiągł milczenie.

Zacząto naprzód świec szukać!

Niestety! były tak dobrze schowane, że Kottanerin zrozpaczona, wcale ich znaleźć nie mogła...

Tymczasem kury piałły...

Przestrach ją ogarnął niewymowny. Bez światła kroku zrobić nie było podobna. Musiała więc pomocników na nowo odprawić, starą, twardo śpiącą babę obudzić, posłać ją znowu po świece i czekać aż potem usnie.

Godziny upływały. Do wydobycia korony, łamania kilku zamków, poprzybijania nowych, czasu wiele było potrzeba...

Baba wyszukała świece, przyniosła je, położyła się, usnęła.

Magyara wpuszczono znowu, zapalono je, zabrał przywiezione zamki i pilniki, a w dodatku małą pieczęć królowej, aby drzwi główne skarbcza, zawiązane chustą otworzywszy, na nowo opatrzyć pieczęcią.

Zaczął się dobywanie, odjęto chustę, przepiłowano zamek pierwszy i oba pomocnicy weszli do izb prowadzących do skarbcza.

Ale pilowanie i odrywanie nie obeszło się bez stukotu, a na zamku jeszcze ludzie, zajęci przyborami do podróży, nie spali.

Chodziły straże...

Zdawało się, że chyba cudem pogłuchną i posłyszawszy hałas nie nadbiegną. Światło też zdradzało w oknach...

Kottanerin w trwodze niewysłowionej, co chwila, co sekunda spodziewała się być odkrytą i pochwyconą. Ani ona ani jej pomocnicy nie mogli zdradzić królowej, czekała ich więc kara za rabunek skarbu publicznego... Śmierć!

A śmierć naówczas, gdy występki był zuchwały, zadawano taką, aby winowajca cierpieł; sprawiedliwość była okrutną.

Niemka ze strachu uklękła na modlitwę, prosząc Boga, aby dla miłości królowej, pomógł jej biednej i ocalił ją. Gdyby zaś zginąć miała, aby się nad jej duszą zlitował...

Wśród tej rzewnej modlitwy, w nocnej ciszy, przerywanej tylko dochodzącym ze skarbcza stukiem, nagle usłyszała Niemka pod samymi drzwiami jakby ciężki chód uzbrojonych ludzi i chrzęst oręża... Czekala już tylko rychło drzwi wyłamać.

Nie wiedząc co począć, porwała się biedz, przestrzedz pracujących, aby poprzestali; ale na myśl jej przyszło naprzód zbliżyć się do drzwi, od których dochodził ją szelest...

Wtem ustał on, zrobiło się cicho znowu.

Kottanerin najmocniej była przekonana, że upiory i strachy narobiły tej wrzawy, padła więc znowu na modlitwę, ofiarując się odbyć boso pielgrzymkę do Maria-Zell, miejsca cudownego, a dopókiby ślubu tego nie dopełniła, wszystkie soboty, na pamiątkę tej, sypiać bez pierzyny, dziękując Bogu i N. Pannie za ocalenie i opiekę...

Wtem w czasie modlitwy, pod drugimi drzwiami, od izby, w której spały służące królowej, dał się słyszeć taki sam chrzęst i hałas...

Tym razem Kottanerin ze strachu straciła zupełnie przytomność, zaczęła drżeć, potnieć, była pewną, że nie strachy, nie upiory, ale ludzie idą, usłyszawszy hałas, chwytając ich na uczynku...

Nie wiedząc, co z sobą robić, czekała tylko, czy przebudzone dziewczęta nie poczną krzyczeć. Podbiegła pode drzwi, ale hałas natychmiast ustał.

Klękała tedy Bogu dziękować, utwierdzona w tem przekonaniu, że wszystko to było nieczystą sprawą szatana.

Tymczasem niepokój nowy.

W skarbcu zrobiło się cicho, ludzie nie powracali, a przez drzwi niedomknięte zaczynało być czuć spaleniznę i dym...

Chciała już iść zobaczyć, co się dzieje z pomocnikami, gdy naprzeciw niej wyszedł Magyar, oznajmując, że mogła być spokojną, bo od drzwi zamki już poodrywali.

Ale w skrzyńce, w której spoczywała korona, zamek był tak mocno przytwierdzony, iż ani go odpilować ani wyłamać nie było można. Musieli więc go opalać, a od spalenizny tej powstał taki swąd i dym, że go wszędzie czuć było...

Nowa więc trwoga, modlitwy jeszcze gorętsze.

Robota około ostatniego zamka trwała bardzo długo, naostatek dobyto z pudła koronę... Trzeba było napowrót zamki przytwierdzać dla niepoznaki, a w głównych drzwiach chustę jak była przypieczetować.

Wszystko to wiele jeszcze czasu zabrało... Naostatek piły i połamane zamki wrzuciwszy w miejsce bezpieczne, w których ich nikt szukać nie mógł, Kottanerin z pomocnikiem zniosła koronę do kaplicy, w której ołtarzu znajdowały się relikwie św. Elżbiety, patronki królowej.

Tu ze strachu, ofiarowała się biedna Niemka, za mające się popełnić świętokradztwo, w imieniu królowej, sprawić nowy ornat i pokrycie do ołtarza...

Wzięto bowiem z niego czerwoną aksamitną poduszkę, rozdarto ją, wyrzucono z niej część pierza, włożono do środka koronę i Kottanerin zaszyła ją jak była...

Nim się to wszystko wykonało, dzień dobry robić się zaczął, wszyscy na zamku i służące powstawały, ruch powstawał. Czas jechać było, aby stanąć w Komornie.

W ostatniej chwili już, o mało stara baba ich nie zdradziła mimo woli.

Wynosząc koronę ze skarbcza, zabrano z nią część złamanego futerału, który pozostał na ziemi, i baba go podniosła, pokazując a pytając co to było?

Starą tę, która dziewczętom usługiwała, wziętą z Budy, królowa, jako niepotrzebną już, kazała opłacić i odprawić ztąd do domu. Z wieczora była już zaspokojona, ale kręciła się jeszcze, i ów futerał ciekawość jej obudził...

Kształt jego zdradzał koronę, którą okrywał.

Kottanerin, prawie nieprzytomna ze strachu znowu, pochwyciła z jej rąk połamane szczątki i co prędzej rzuciła do pieca. Szczęściem nikt nie zwrócił na to uwagi, ale obawiała się już babę zostawić tu, aby nie plotła, i niby przez miłosierdzie nad nią, zaofiarowała się zabrać z sobą i wyrobić łaskawy chleb w Sankt-Merten...

Wreszcie już wyjeżdżać miano... Ładowano, wynoszono, pakowano sanie i wóz. Koronę w poduszce potrzeba było nieznacznie przenieść. Magyar kazał słudze, który mu pomagał, wziąć ją na ramiona i umieścić w saniach, na których on i Kottanerin jechać mieli.

Wziął tedy drogocenny pakunek chłop, a w dodatku okrył go ogromną skórą krowią wyprawną, z długim wiszącym ogonem, który z tyłu spadał i we wszystkich przypadkach się odjazdowi fraucymeru wzbudził śmiechy szalone.



Ruszyły sanie z pod dolnego zamku w Wyszehradzie, ale za nimi w ślad biegła trwoga, aby nie odkryto, co się w nocy stało, nie wysłano pogoni i nie pochwycono rabusiów.

Kottanerin usadowiła się wprost na poduszce z koroną, choć nie bardzo jej wygodnie być musiało. Co chwila ona i jej towarzysz oglądali się i przysłuchiwali, a nuż! gonią.

Na zamku wszakże, ani drzwi popsutych, ani w kaplicy nieładu nie dostrzeżono...

Pomimo pospiechu, w pół drogi popaść było potrzeba. Magyar z sań zdjął poduszkę i dla bezpieczeństwa położył na stole przed Niemką, aby ją ciągle na oczach miała...

Na tem niekoniec.

Noc już była czarna, gdy nadciągnęli nad brzeg Dunaju, naprzeciw Komorna. Tu rzekę po lodzie przebyć było potrzeba...

Puszczono się wprost, nie przypuszczając, aby lód mógł osłabnąć.

Wtem na samym środku rzeki, wóz, na którym jechały dziewczęta królowej, załamał się.

Krzyk, trwoga, popłoch niesłychany. Kottanerin nie o sługi, nie o księżniczkę szlązką, ani o siebie nawet nie chodziło, ale o tę, z trudem takim zdobytą, oczekiwaną tak niecierpliwie przez królowę koronę, od której w przekonaniu jej, losy potomka zawisły!

Prawdziwym cudem, nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała<sup>1</sup>.

Oto i zamek w Komornie, a w oknach światło u królowej, która się modli, rozpacza i płacze...

Elża przez cały ten dzień z największym niepokojem wyglądała powrotu sługi, a gdy ją oznajmiono, przywitała okrzykiem radości. Kottanerin chwając się osłabła, niosła swej pani poduszkę!

Wzruszenie biednej wdowy było tak wielkie, iż zaledwie uściskawszy swą wierną Helenę, zachwiała się i osłabła musiała pójść do łóżka...

Przestрах i radość przyspieszyły spodziewane narodziny. Też nocy nadedniem wydała na świat pogrobowca.

Milczenie panowało w komnacie, i nie śmiała spytać drżąca matka, czy Bóg spełnił jej życzenie.

— Syn! — zawołały kobiety.

Królowej krzyk radośny rozległ się po zamku...

Syn! król! powtarzano po podwórcach. Syn! Było to oswobodzenie się od małżeństwa, od niewoli!

Arcybiskup Denis Szechy, tegoż dnia ochrzcił g, dając mu imię Władysława, jakby umyślnie na przekorę temu jednoimiennemu wybrańcowi, którego im narzucano.

Przyjście na świat pogrobowca nową siłę dało królowej, która w imieniu swego dziecięcia, postanowiła bronić się do ostatka... przynosił z sobą wojnę...

Rozumieli to posłowie węgierscy w Krakowie, usiłujący pospieszyć z królem do Budy, i nimby Elża do oporu przygotować się mogła, ukoronować go... Nie wiadano o tem, że z Wyszehradu korona była wykradziona, i że wkrótce niemowlęciu miano ją włożyć na skronie, aby polski król nie mógł ani jej dostać, ani się ważyć stanąć przeciw pomazańcowi!!

Wiadomo jaką wagę w tych wiekach przywiązywano do poświęconych insygniów, do starych koron, które przynosiły z sobą błogosławieństwo, i nadawały prawo władania narodem...

## V

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczały, wody zbiegały, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z południa...

Wyprawa na Węgry, pod jakąś niedobrą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sącza... Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, który w części dla przyjęcia posła papieżkiego, w części dla niewytłumaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie tłumaczył, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

<sup>1</sup>... nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sanie przesiadły, korona ocalała — Opowiadanie własne Kottanerin służy za podstawę. (przyp. aut.) [przypis autorski]

W chwili gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrosli tak byli z sobą razem, nigdy prawie się nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału obu im lzy prawie mimowolnie wilżyły oczy...

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata. Kaźmirz czuł się także sierotą bez niego...

Jego miano wyprawić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali za-zdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sączu oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam pożegnać raz jeszcze, biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli...

Z widocznem ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa... W progu obejrzał się na stare zamczysko... to gniazdo w którym zrosł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką, wyjechali tak smutni, jakby się dla nich młodość na progu skończyła...

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pograżony w jakichś przeczuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie, pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką...

Mistrz jadący w orszaku, opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich... On, im był smutniejszy, tem zawsze mniej z ludźmi dzielił się tem, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały — że z Węgier gościńca przywiozę pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają!!

— Wracajcie tylko sami, cali i zdrowi! — zawołała Balcerowa, córkę wyręczając — a już gościńca od was nie zażądamy.

— Bóg łaskaw!! — rękę wyciągając dodał mistrz, i skinąwszy orszak już oddalający się napędzać musiał.

Nie był on przesądnym wcale, naówczas jednak nawet umysły tak jasno widzące jak jego, ulegały temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo...

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, któryby się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przeczucie jakieś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł ochotnie... Smutek ciążył na wszystkich... Zaledwie wyjechawszy z zamku król z bratem, postrzegł zdaleka ciągnącą na wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to bacznosci towarzyszków jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonań, trumna i pogrzeb nie rokowały nic złego, lecz wrażenie czyniły przykre. Ani król, ani Kaźmirz nie rzekli słowa, udali jakby nie widzieli... Nie spieszo też wcale...

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wieliczki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwii, które miał król wziąć z sobą i posłano po nie do Krakowa...

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem... Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najeżonymi piórami, nie chcąc jeść, siedział jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że ztąd wyjazd do Bochni przyspieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sączu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska, niż do małego miasta...

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, dotąd nie przybyli. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tem, aby poczet

był jak najświetniejszy, a ci co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż się kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Władysław niemal był rad zwłoce... tak mu się kraju opuszczać nie chciało; ale królowa matka, widząc to, wesoło, natarczywie budziła w nim męztwo i ambycję.

Nie dano zresztą królowi myśleć o sobie... narzucano mu wyznaczenie rządców, kasztelanów po grodach, towarzyszków i opiekunów dla brata.

Władysław losem Kazimierza gorliwie się zajmował i to jedno go żywiej obchodziło. O Węgrzech nie mówił, a gdy zagadywano, odwracał rozmowę.

Wyposażenie brata, koszta ogromne podróży, obowiązek pomagania rycerstwu, które z nim szło do Węgier, zmusiło króla — przy wyczerpanym skarbie — zaciągnąć wielki dług u biskupa krakowskiego, który zastawem wziął ziemię Spiską.

Szemrano na to...

Układy, przygotowania, oczekiwanie na spóźnionych panów, przeciągnęły pobyt w Sądzu aż do czwartku przed Ś. Wojciechem.

Chociaż brakło jeszcze bardzo wielu z rycerstwa, dłużej już na nich oczekiwać nie było podobna...

Ci, którzy się opóźnili, mieli króla dognać na Węgrzech.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnem, pięknem i takim duchem ożywione, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy, na równi z nimi stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie: król ukląkł przed matką aby go pobłogosławiła, uściskał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który, zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie...

Niewesoła była podróż do węgierskiej granicy i Kieszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano... Tu Szymon Rozgon biskup jagierski, który świeżo opanował dla młodego króla i osadził Preszów, przybiegł witać w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkimi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.

Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jak gdyby przeczuwał, co go czekało był ciągle pogrążony w sobie i milczący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku i dla naganających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli...

Drugiego dnia wieczorem, gdy się opóźnionych spodziewano, a szczególnie marszałka Ryterskiego, którego król z sobą mieć żądał, i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kazimierza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini: Andruszko, Dowojna i Raczko, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdwojenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństwem brzemienneą, że nawet biskup Zbyszek na chwilę się uczuł tem zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie izbę wyznaczoną nieopodal królewskiej, i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza niż zwykle okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko? — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorzu, że uczynilibyśmy oba lepiej zawracając nazad do Krakowa!! Zważ, proszę, na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś... a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którym się nie utrzymam?... Wierzę w rozum i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tem go nie poznaję. Kazimierz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu,

trudnoby sobie poradził... Młody jest i dobry. Nasby tam dwu nie było za wiele... Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a! i powrócić do Polski.

Oczy mu błysnęły.

— Do Polski! do Krakowa! Po co mam wydierać królestwo cudze, gdy we własnym tyleby było do czynienia! — dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł odwracając się ku niemu Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi za późno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo...

Zmarszczył się król słuchając.

— Nie o Litwę idzie — dodał mistrz — ale wam srodze żal Krakowa!

— A! tak! i z tem się nie taję przed tobą — rzekł Władysław porywczo — a sądzę, że i drudzy to rozumieją. Tak jest! tęskno mi za Krakowem... Jam tu obcy... a nawet ten tak przyjazny biskup Szymon, co zajął Preszow dla mnie, nie tai, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma Niemców, ma cesarza za sobą, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znaczniejszą jeszcze — odezwał się Grzegorz — wy, miłościwy królu mieć będziecie, bo ich pozyskanie łatwo. Cofać się za późno! Ja tak, jak wy, więcej czuję wstrętu niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione... jesteśmy już na tej ziemi. Ludzieby tłumaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawą! Ja się nie lękam niczego — zawołał dumnie — oprócz bym przeciwko sumieniowi własnemu nie wykroczył!!

Grzegorz stał milczący, król przeszedł się po małej izdebce.

— Masz słusność — rzekł — rycerzowi nie godzi się dać posądzić nawet, że się uląkł czegokolwiek... Zwyciężywszy nieprzyjaciół, rzucę im to królestwo pod nogi... z ich królową razem.

Z gorącą jakąś wyrzekł to młody pan i jeszcze raz powtórzył:

— Mogliby to tłumaczyć obawą!! Musimy więc iść — dodał wdychając.

— Miłościwy panie — szepnął Grzegorz — idźmy tylko z temi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi...

Węgry oddały ci się, bo się czują zagrożone, bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć... ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą — dodał król. — Jutro rada... spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posądzić nie będzie można... Będę milczał... lecz jeśli oni postanowią, że Polsce naprzód służyć nam należy, posłucham ich z radością i... powrócę.

Na samą tę myśl powrotu, twarz piękna króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój! — westchnął — a! gdyby wrócić było można...

Nie mówili więcej.

Nazajutrz Zbyszek biskup przyszedł króla wziąć na radę. Oprócz niego znaleźli już zgromadzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna krakowskiego wojewodę, Przedbora z Konicpola, Wincentego z Szamotoła, Piotra ze Szczekocin, Rafała z Obidzowa, Hinczę z Rogowa i innych.

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milczący i zajął miejsce swoje...

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zbyszek zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam.

— Czynień was sędziami tego, co najpilniejszym mi się widzi. Sądziłszy, że wybór był zgodny; tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem się dobijać potrzeba. Nie lepiejżeby było zaczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór ten uznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy czas jakiś milczeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę tał — wtrącił Jan z Tęczyna — że ja zupełnie podzielam to zdanie... Czekaj nas tu wojna... a król, co przelewając krew przyszłych poddanych, dobijać się musi panowania...

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warcholów jest przy królowej, wszystko co zacniejsze z nami!! — zawołał. — Mam ufność w Bogu, że tak jak Preszow się poddał, inne miasta przyniosą nam klucze... Szymon biskup jagierski ręczy nam za to...

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, potakując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał.

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbor z Koniecpola, z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się więcej. Słuchał dając tylko oznaki, iż mimo zdania większości, on zostawał przy swoim... Rada przeciągnęła się długo, na ostatku stanowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją postanowieniem, że na Węgry cześć i dane słowo iść zmuszało... Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, poparł to zdanie, Jan z Tęczyna i Przedbor z Koniecpola umilkli. Król powstał nie odzywając się już i salę obrad opuścił.

Zatrzymano się jednak przez dni kilka następnych w Kieszmarku. Szło o powierzenie zamku i miasta Polakowi lub Węgrowi. Panowie polscy raili Dzierżka z Włostowic, biskup Szymon Węgra Mikołaja Peren, za którego ręczył. Król rozstrzygnął za ostatnim, znajdując, że nieznanemu kraju, choćby najdzielniejszemu rycerzowi, tak ważnego grodu dawać nie było można.

W dzień Ś. Floryana, patrona Krakowa, ruszył wreszcie król z obozem i dworem z Kieszmarku, tak ponury i milczący jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze...

W Sobinowie powolny pochód musiał się znowu zatrzymać, bo tu króla napędził poseł nowo obranego papieża Feliksa V., chociaż Eugeniusz IV. żył i panował na Apostolskiej stolicy. Zdawało się, że co krok nowego coś opóźnia naumyślnie dalsze posuwanie się w głąb kraju...

W Preszowie obchodzono uroczystość Ś. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach, już potrwożonych, nową było przepowiednią złowrogą. Mnożyły się te oznaki...

Dwór króla pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu, namówił Władysława, który myśliwstwo z sokoły lubił, aby z niemi na kaczki zapołowiał...

Ten, który pierwszy myśl tę poddał, ulubiony królowi pisarz jego Jan syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzece... i utonął.

Nie śmiano dać o tem znać królowi, który był do niego przywiązany, lecz i zataić nie było podobna... Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy niż kiedy król sam się znajdował...

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesołym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem. Jednym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego Wincenty z Szamotuł kasztelan międzyrzecki.

Poważny mąż, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niczem niezamąconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo, do uśmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzuconem słówkiem, młodego pana rozchmurzył; lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się dosięgnąć, gdy nadchodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z pocztem zbrojnym dla opanowania jej, między Węgrów towarzyszących królowi popłoch rzuciły.

Szymon biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna i znaczny poczet Węgrów, musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadaniu Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez jakiejś wieści zatrważającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej pogrążony w sobie jechał jakby zmuszony tylko...

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział co cierpiał i jak mężnie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgierscy mówili ciągle i gorączkowo o natychmiast mającej w Budzie nastąpić koronacji, przekonani, iż uroczysty ten obrząd młodego króla węzłem nierozzerwanym z krajem połączy...

W wigilią Zielonych Świąt, przybył Władysław do Eger i stanął na zamku... Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie; lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, równie jak innych, uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłymi a temi, których na zamku zastali, wszczęły się szeptaki jakieś, i najmniej wprawne oko dostrzedz mogło, że jakaś zła wieść wszystkich strwożyła.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy, nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacyi... Jeden z panów węgierskich, z którym się poprzyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego blady, z zaciśniętymi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas niepomysłnego — odezwał się Grzegorz do niego — mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przygotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą, krzyczeć na głos cały.

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się ani przewidywać nie mógł... Słuchajcie!! Ten, co opowiada, wie to od naocznego świadka! Królowa Elża wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Białogrodzie ukoronowała. Łotr ten kardynał Dyonizy Szeii, dopełnił obrzędu! Za dziecko przysięgał hr. Cilly!! Ale co warta koronacya ta i przysięga... zdepczemy ją nogami!!

Węgier był wściekły. Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę, myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogrobowca, dozwalało Władysławowi cofnąć się...

Zawahał się, czy ma z tem iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartym oknie.

Był sam, gdyż wiadomość o koronacyi wszystkich od niego odciągnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się z gniewem wielkim, odgrażając na sprawców, a szczególnie na Garę, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał zobaczywszy go król, prawie wesoło. — Widzi mi się, że na ten raz już nas Węgrowie puszcza, bośmy im niepotrzebni... Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykradła!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się ty nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawna rzecz, że zręczna pani... do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczny jestem. Możemy teraz powracać...

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrotem do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony a gniewny.

— Nie! powracać już nie czas. Można było odepchnąć ofiarowaną koronę, ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej odzyskać. Jestem przekonany z tego com słyszał i widział — dodał Tęczynski — że to co w przekonaniu królowej tobie panie przeszkodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół ci zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę...

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna — ale dziś ją odzyskać należy...

Drzwi stały otworem, towarzyszący królowi Marzellim wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastąpi królowa — zawołał — tak jak wprzódy na wolność naszą nastawała! Ale Magyrowie nie dadzą się ani z niepodległości i prawa rozporządzania swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby Wyszehrad przyszło w przynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marzellim szli już inni panowie węgierscy, tłumnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemstą.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy...

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie, ani objawiwszy co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że koronacya pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i Rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosowali za tem, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wycofał, dumal jak się to wszystko skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany... i dotąd poilo tylko goryczą. Ten sam Węgier, który mu przyniósł pierwszą wiadomość o koronacyi, wszedł już uspokojony nieco, ale bardziej zasepiony niż kiedy, zwierając się, iż przybyły ktoś z Budy powiadał, jakoby palatyn Wawrzyniec wzdrażał się z poddaniem zamku w Budzie, stawiając warunki, których w żaden sposób przyjąć nie można było.

Cierpliwy zawsze mistrz Grzegorz, usłyszawszy to, wybuchnął nareszcie.

— Zaprawdę — rzekł — czci to wam nie czyni, żeście nas tu ściągnęli obietnicami, których dotrzymać nie umiecie... Prędeż w królu i w nas co go miłujemy, obudzicie niechęć niż życzliwość takim postępowaniem. Daliście nam koronę, której, jak się okazuje, nie mieliście; złudziliście obietnicami, nie mając mocy ich dotrzymać. Sami sędziami bądźźcie...

Węgier pochwyił za rękę mówiącego.

— Czekaj — rzekł — przekonacie się, iż to cośmy postanowili, spełni się. Chytrłość niewieścia i przewrotność ludzka stanęły nam na przeszkodzie, lecz... pogrobowiec panować nie będzie!!

To mówiąc wybiegł Węgier.

Co się działo pomiędzy magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie naradzali, a potem nocą kilku z pomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiedziano.

Niewzruszenie tylko głożono, iż we czwartek po Zielonych Świątach król musiał uroczysty wjazd odprawić do Budy...

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość...

Zapowiedziany wjazd uroczysty nie nastąpił wprzódy aż w sobotę, w wigilią Ś. Trójcy, gdyż z palatynem Hedrewarą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej górze czekały na niego konie i ludzie przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego, i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczenie, chorągwie kościołów i cechów wystąpiły na powitanie... Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice do Zygmuntońskiego zamku wiodące...

Władysław zsiadł z konia dla ucałowania relikwii i krzyża, skinął okrzykującemu go ludowi i dosiadłszy konia znowu, jechał w ogromnym orszaku na zamek...

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i panów, drugi z towarzyszków ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszakach, z tarczami ozdobnemi i dzirydami.

Wszyscy oni pokłękawszy przed królem, cześć mu oddali.

Przez otwarte na oścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zygmunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa, na przyszlą stolicę...

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz bacniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za nimi łatwo zmącone dno niezgłębionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często jeszcze pod rozkazami mieli pułki i dowodzili oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia, namiętności, niepokoju, niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockim jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniałe to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!!

— Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki po cichu — lecz ufamy w Bogu, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garść warcholów i przekupionych przez wdowę Albrechtową, nie da nam nic uczynić złego! Wszelako na wojnę się gotować potrzeba.

Z tem uczuciem i król i wszyscy wjechali na zamek do Budy... Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast wołać poczęto o koronację, aby dopełnieniem jej okazać, że pierwsza na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągu podróży, odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas usłyszeć od niego, cudownym niemal sposobem dojrzał i spoważniał.

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nietajone mu przez biskupa trudności i zawady jakie miał do przełamania, podziały na niego potężnie.

Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda, i wypadki są czasem czarodziejską różżką, która otwiera źródło myśli...

Na smagłej a teraz trudem wewnętrznym duszy sposepniałej twarzy króla, widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postępków...

Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy tajemniczo przysłonione, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały...

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć na kogo tu mógł rachować.

W tem Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe ludzi doświadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swojemi i obcemi, co o kim trzymano.

Mistrzowi zaś bystry, przenikliwi a zawsze wesół i tą wesolością napozór lekkomyślną umiejący się wszędzie wcisnąć, Wincenty z Szamotuł dostarczał wielu postrzeżeń. Ponieważ wprzód był wysłany do Budy i miał tu czas zabawiając się, o ludzi ocierać, o każdym z magnatów miał już pewne dane i poczynione postrzeżenia...

— Nie rozpaczam — mówił tegoż wieczora Wincenty — że my ich powoli sobie zjednamy, ale z wyjątkiem kilku, na których dziś już rachować można, bo wiedzą, że się od wdowy przebaczenia spodziewać nie mogą, za resztębym złamanego nie dał szeląga. Ale jak jest, to jest, pewna, że liczba zwolenników naszych urasta z dniem każdym... Siła ma też swój urok, a nie ulega wątpliwości, żeśmy silniejsi.

Cesarz dla swojego krewniaka pogrobowca, nie poruszy ani wojska, ani da pieniędzy. Królowa ostatkami goni.

— Nie mówcież tego królowi — przerwał Grzegorz z Sanoka — bo i tak się on nad losem jej użala. Cześć nie dozwala mu się cofać, lecz wiem to od niego, iż gdyby mógł, rychlejby wdowie i jej dziecku pomógł, niż z niemi wojował...

— Wojowanie to pono nie potrwa długo — odezwał się Wincenty z Szamotuł. — Powiadałem, że Elża ostatkami goni i wiem to od Węgrów, którzy są o każdym jej kroku uwiadomieni, że koronę mniejszą królowych zastawiła cesarzowi w kilku tysiącach czerwonych złotych, za które w Czechach i po Niemczech robi zaciągi, ale to wysiłek ostatni...

Po przybyciu do Budy, nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło, pozostać nie mógł.

Przychodzili magnaci, biskupi, wojewodowie, banowie, wielkorządcy ziem do Węgier należących, oddawać mu hołdy i pokłony, a raczej wypatrzeć zawczasu, czy miał dosyć silną dłoń, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.

Nie zbywało na dworze i owych dwulicowych postaci, które królowa Elża wysłała, aby w obozie nieprzyjacielskim mieć ucho swoje i oko.

W przededniu wjazdu, jednego takiego człeka, któremu się obelżywe słowo wyrwało, pod zamkiem rozsiekano...



Wincenty z Szamotuł utrzymywał, że z dobrych ust miał, jakoby zabójcę wysadzonego, co króla przed koronacją z polecenia Cillych chciał zamordować. Lecz wojewoda się śmiał z tego, bo młody król był ciągle otoczonym rycerstwem, które nad nim dzień i noc czuwało, a Zbyszek biskup sam uprosił go, aby do czasu pod kaftanem koszulkę drucianą nosił.

— Strachy to być mogą próżne — mówił biskup — lecz ostrożność nigdy nie jest zbyteczną.

Na zamku wrzało i kipiało... Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wielcy, biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstał przy tem, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie, glejty były wydane, poręczające bezpieczeństwa osób...

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przejednania, chociaż zwolennicy króla magnaci, w myśli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swych przeciwników...

Wśród tego natłoku panów, którzy już od blisko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię ze wschodu przybyłe i osiadłe, ze krwią gorącą i obyczajem, którego kilka wieków złamać nie mogło ni poskromić.

W tym wieku nawet, który w ogóle bujniejszym był i sprzeczności a wybuchów pełnym, Madziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila jakiś zuchwały wśród narad występował wniosek, który hamować musiał Zbyszek i polscy panowie. Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególnie, łaskawością i dobrocią.

Zgadzano się pozornie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swych przekonaniach...

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloczków, Peren'ych, Orszagów, Palouczów, Czakich, uderzał wybitną swą osobistością jeden mąż szczególnie, już wslawiony zwycięstwami, którego postać rycerska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się bohaterskim jakimś majestatem.

Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy. Oglądano się na niego.

Mężem tym był Jan Huniady, który młodemu królowi i panom polskim, przy pierwszym spotkaniu, wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedzano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach terazniejszych, Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przedewszystkiem żołnierzem i dowódcą, zdala tylko patrzył na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze o przyszłą koronację Władysława toczyły rozprawy, Huniady z rana wszedł do króla, który oddawna zbliżyć się do niego pragnął.

Z zaufaniem i współczuciem jakimś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartem mógł się rozmówić.

Długie milczenie serce mu ugniatało, młoda pierś z trudnością znosi zamknięcie...

Byli sami. Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, umyślnie usunąwszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pacholę, które lada czem zabawić potrzeba.

— Miłościwy panie — rzekł — spodziewam się ja i wszyscy, co cię tu witamy sercem wielkiem, że i kraj nasz i ludzie podobać ci się będą? Jest-że na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali!

— Kraj piękny — odpowiedział Władysław smutnie i poważnie — lecz wierząc mi panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on urodził... Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie jako ojczyznę przyswoić i ukochać — rzekł Huniady.

— Tak... ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie — a przyznacie mi, iż dotąd więcej wygląda kraj ten jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek.

Jechełam tu w innej nadziei, z myślami innymi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądałicie mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę.

— Wy nie, miłościwy panie — rzeki Huniady — my dla was... Niestety! zgoda u ludzi, w rodzinie, w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim... w takie czasy!!

Westchnął podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie, tak, że do mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojęstwa są ciężarem, miłościwy panie — mówił Huniady — i myśmy wiedzieli, że nielekką korona św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwu się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu w obec praw narodu?

Nie chcieliśmy i nie chcemy panowania wdowy po Albreecie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą; krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi...

Kto wie jakie kalectwo dla miłości cesarzów...

My nasz kraj, da-li Bóg rozszerzać pragniemy, ale ani piędzi jego nie damy oderwać.

Huniademu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni młodej i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza...

Poganie leją się z Azji na kraje nasze i sąsiednie, my murem tu stać musimy, aby krzyża nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę.

Nie skarżciez się miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali...

Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas, brońcie znamienia mojego! Musimy być głusi...

— Miły panie — odparł Władysław — tem prawda, serceście mi rozgrzali, ale nie mniej jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem ale najezdzcą, dopóki pół Węgier przy królowej stać będzie...

— Nie potrwa opór — przerwał Huniady — za koronację pogrobowca i kardynał Dyonizy i kroacki ban, który korony strzedz był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was, i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam...

Władysław pozostał milczącym chwilę.

— Wspomnieliście — rzekł ciszej — o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana, proszę was, jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć...

Huniady jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzył go oczyma.

— Piękną jest łaskawość — rzekł zimno — lecz wierzajcie mi i pomnijcie to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musisz i my także, mniej ofiar padnie. Poblązanie rozplemia złych!!

Mówiąc to spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten nieustraszonej odwagi, był zarazem człowiekiem dobrowolnie i z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam — dodał Huniady — rozprawienie się z temi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi...

Rumieniec oblał twarz sńiadą Jagiełłowego syna.

— Poleje się li krew — rzekł z siłą wielką — ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę.

Słowa te, któremi rozmowa z Janem Huniady zakończoną została, bo w tej chwili wszedł kanclerz Maciej biskup wesprymski z banem sławońskim Taloczem, uczyniły na nim wrażenie zapewne dobre, gdyż znamionowały siłę i energię, której Huniady po panującym wymagał.

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich, było początkiem stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, który choć mu się mężnie sprzeciwiał, budził i wiarę w siebie i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przysłą nie były skończone, gdy wieść nadbiegła o wzięciu Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tem, i sam jeniec skrepowany przyprawiony został do Budy.

Węgrzy z radością wieścią o tem przybiegli do Władysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej.

Król oznajmienie to przyjął milcząco, chmurno i wejrzeniem rzuconem na przytomnego Grzegorza z Sanoka, okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku...

Odgrążano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy...

Nim pierwsza wrzawa tym wypadkiem obudzona ustała, Władysław wydał rozkaz, aby więźnia do niego przyprowadzono do wielkiej dolnej sali zamkowej...

Hr. Cilly był tak przelękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach idąc zachwiał się o mało nie upadłszy... Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skrępowane w tył ręce, cała postać pańska a nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość... Ludzie, którzy prowadzili go, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko, sił ostatkiem.

Król poruszony pospieszył mu na pomoc i podźwignął...

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympaty trochę wlał nadziei, niezrozumiałymi kilku słowami powitał króla mierząc go oczyma, w których nienawiść, trwoga i zdumienie się razem malowało.

Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysława, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie.

— Bracie i przyjacielu — rzekł — nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się okazali. To co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili, położyliście na nim pieczęć waszą i złamali słowo... Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę...

Wiecie najlepiej sami, zem ja pierwszy nie pożądał ani się o to królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeśli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł rękę po czole, chciał coś mówić, lecz głosu dobyć nie mógł. Słowa króla odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i napróżno...

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król odstąpiwszy kilka kroków rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chcę — rzekł do Hińczy z Rogowa — abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga, krzywdy mu nie czynicie, los mu ją już wyrządził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przyjaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie.

Narady dosyć burzliwe ciągle, z różnym skutkiem przeciągnęły się do śś. Piotra i Pawła... Wygodniejszym znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas, król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał. Grzegorz z Sanoka, który teraz po śmierci Jana z Sennowa, często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe...

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło, i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swojemi... Biskup Zbyszek tymczasem pilno się właśnie o to starał, aby koszta, mozoły i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień śś. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebrali, a nikt nie spodziewał, ażeby król miał głos zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu...

Począł mówić. W początku i gwar, który się jeszcze nie uciszył, i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprowadziła milczenie.

Prostemi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój, spodziewał się, powołany głosy wolnemi, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech... Dla nich się poświęcając opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koszcie, z wielkim wysiłkiem

przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie, nie dla żądy panowania, ale dla obrony wiary chrześcijańskiej...

— Opierałem się długo, zmuszony zostałem prośbami waszemi, nie przewidując, co mnie tu spotkać miało... Zastałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomnijcie na mnie, nie uwodźcie się żadnymi względami, czyńcie co się wam zda lepszem dla kraju waszego... Ja jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taka była treść przemówienia króla, który coraz się więcej ożywiając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnem tem odezwaniem się, które zdumienie wywołało.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony gotów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero palatyn Hedrewar wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wy tłumaczył jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią... W końcu wybór ten pierwszy a niezmienny, dzisiejszym okrzykiem zgodnym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności wszystkich, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął... Ofiarowano przysięgę wierności i posłuszeństwa...

W czasie mowy palatyna, ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem ciągłemi okrzykami słowa jego potwierdzano... a całe zgromadzenie podnosiło ręce, zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością ofiary...

Król zaledwie kilku cichemi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu... „W obronie i dla dobra kraju tego nie będę szczędził trudu!” rzekł w końcu...

Dyonizy arcybiskup strygoński, przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami... Po nim palatyn Gara i wszyscy inni wierność ślubowali...

Starym obyczajem pochwycono potem króla na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkiem wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił...

## VI

Wprzód jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra Paloczego, z którym, jakśmy wspomnieli, dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali — rzekł Paloczy, który i Polaków i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrzu Grzegorzu, myślcie teraz abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić... Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa — odpowiedział na przekór Paloczemu, drażniąc go. — Myślcie o koronacji a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwięzić inaczej jak tą pobłogosławioną, której królowa Elża wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy! — rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać? he? — odparł uśmiechając się Grzegorz. — Razem z koroną potrzebaby zdobyć i królowę, a tej ani nasz pan ani my dla niego nie życzymy...

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona — rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnymi waszemi oczyma Władysława Garę, któremu straż koron obu powierzona była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać lub...

Tu Paloczy powiódł rękę po gardle.

— Takich banów i magnatów jak on — rozśmiał się Grzegorz — na gardle nie karzą nigdy; małych ścinają, wielcy uchodzą cali... my mamy na to przysłowie.

— A my — gorączkowo przerwał Paloczy — przysłowia nie mamy podobnego ani zwyczaju; im przestępstwo większe, a popelni je mąż, któremu ufano i zwierzo wiele, tem kara straszniejszą być powinna.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć, albo inną, któraby tej była warta — dodał Paloczy, żywemi ruchami popierając mowę swoją — bo koronacja nieuchronna, tem spieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą niemowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko — począł Grzegorz z Sanoka poważniejąc — gdyście poznali młodego pana, że korona, którąście krwią zmazali lub gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocznie. Mielście zręczność zrozumieć go wy sami; my powiedzić możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przენiewierstwem. Banowi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zrzecze się korony waszej, niż dozwoli ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni — rzekł — że na wszystko radę znajdziemy, a koronacja rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć, zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali — za osobę jego czyniąc odpowiedzialnymi Szymona biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z Frysztadu.

Król zaledwie wstawszy ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem. Nie chciał czekać przybycia panów, którzyby mu o tem oznajmili; posłał po Gratusa, aby Huniadego i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przyboczni, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętymi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono — rzekł dumnie. — Prawdali, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało. — Ban miał powierzoną straż insygnów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je lub niedbalstwem swem dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszłą koronację pogrobowca, a drugą koronę królowa zastawiła cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszna rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego com słyszał i wiem — rzekł król — widzę, że królowa i jej służba więcej winne niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając, tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymywać.

— Listy dane były, gdy wina jego nie została dowiedziona — przerwał kanclerz. — Nic one nie znaczą.

— Słowo moje — zawołał król — droższe mi jest niż korona. To jedno powiedzić wam chciałem i uroczyście oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam.

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym, i skończywszy z dumą taką cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tem rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia, Władysław zwrócił się do Huniada.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo...

Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Długi dość przeciąg czasu upłynął, nim oznajmiono królowi, że nadeszli węgierscy magnaci, wiodąc z sobą bana Garę.

Widać było po nich, jak gorącą i namiętą walkę stoczyli. Twarze i oczy były rozognione, piersi buchały, z ust wyrwały się słowa jak bryzgi ukropu. Szli sporząc jeszcze, a Władysław Gara w pół strwożony, na pół roznamiętniony doznaniem upokorzeniem, ciągnął za niemi, nie ustając wyrzekać i tłumaczyć się.

Dopiero w sali umilkli oczekując na króla, który wyszedł sam jeden, a spojrzenia nań dosyć było, aby dowieść, że zdania swojego zmienić nie myśli.

Kanclerz w imieniu rady począł się rozwodzić usprawiedliwiając uwięzienie, gdy król mówić mu nie dając, przeciął zaraz.

— Słyszeliście wolę moją, tej nie naruszy żadne dowodzenie przeciwnie.

Gara podniósł głos, bijąc się w piersi i krzycząc namiętnie.

— Nie wydawałem korony... wyrwano mi ją, stał się gwałt! rabunek! rozbój! Ślijcie, przekonajcie się, pudło jest złamane, pieczęcie pokruszone.

— Dobrowolnieś ją wydał! — przerwał jeden z magnatów. — Trzymałeś z królową.

Zaczęto wołać ze wszystkich stron i wrzawa się stała, która królowi była uwłaczającą i nieprzyjemną.

Powtórzył krótko, i stanowczo, że żąda uwolnienia Gary.

Kanclerz na to wybuchnął, spojrzawszy po swoich.

— Na rozkaz wasz, miłościwy panie, dajemy mu wolność; ale pomnijcie, że wrogiem wam był i będzie. Stanie się li co przez niego, własnemu pobłażaniu przypiszecie to, miłościwy panie... my nie będziemy winni.

Król spojrzął na Garę, który powiódłszy oczyma pełnemi nienawiści po stojących dokoła, ze złożonemi rękami zwrócił się do młodego pana i pokłonił mu.

— Pókim żyw, dobrodziejstwa tego nie zapomnę — rzekł — a przekonam oszczerców, iż mnie osądzili niesprawiedliwie...

Tak przeciwko wszystkim zawyrokowawszy król, odpuścił ich, nie chcąc słuchać ani dziękczynień bana, ani usprawiedliwień sędziów jego.

Wszyscy tłumnie i z wrzawą ponowioną wysypali się z królewskich pokojów.

Do dalszych uchwał, tyjących się koronacyi, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyspieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadywania się o nie...

Za to Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czynienia wiele, bo go poniekąd z umysłu — niedowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano — zastępowano przez dziekana Lasockiego... stosunki pozawiazywawszy z Węgry, nauczywszy się już ich języka, przestając ciągle z niemi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru...

Dzekan Lasocki i biskup Zbyszek, słysząc czasem swobodnie i ironicznie odzywającego się mistrza Grzegorza, nie dowierzali mu, obawiali go się przy królu. Była już parę razy mowa o wysłaniu do Polski, ale król okazał, że radby go zatrzymać przy sobie.

Do czasu więc nie ruszono go, patrząc nań tylko zdaleka.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacyi, o którą nalegał wraz z Węgry, chciał i musiał powracać do Polski. Na swem miejscu, jako *alter ego*, zostawiał Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka.

Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomem było, co postanowią w sprawie koronacyi panowie, Paloczy przybiegł już do mistrza...

— Tym razem — rzekł siadając zdyszany — skończone wszystko, zaprawdę... Dla sprawdzenia, że korona wykradzioną została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce téj, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie Szczepana świętego...

— Jako? — zakrzyknął Grzegorz, łamiąc ręce. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko porwać koronę, aby nią koronować... jakby na śmierci przepowiednią!! Na Boga!! Pomyślcieź, godziź się to?? Z grobu?? z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwia nasza! — zawołał — a któraż korona nie spoczywała na umarłych skroniach?? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie Apostoła Węgier czekała na niego!!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieczniliście, jakby był sam na śmierć przeznaczonym! — odparł Grzegorz z Sanoka, wdychając...

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi — dodał Węgier. — Koronacya naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego...

Wszystko to mniej obchodziło mistrza, w myśli jego utkwilo jedno to, że koronę z grobu brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tem nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiedz biskup Zbyszek, który miał koronę Ś. Stefana jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwię Władysławowi ukazać.

Grzegorz z Sanoka wcale nie spieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej aby on mu pierwszy o tem powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najczęściej gdy dzień się urzędowie skończył i wszyscy porozchodzili, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się lub użalać. Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznymi się wydawały biskupowi Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka żądającemu widzieć Lasockiego.

Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzania mu się myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej niż ja — odezwał się do niego Władysław — więc i o koronacyi pewnie już wam mówiono.

— Naznaczono ją na dzień Ś. Aleksego — rzekł Grzegorz — słyszałem o tem.

— Dali mi dowód czci swej niemały — dodał król — najdroższą relikwię, koronę Ś. Szczepana przeznaczając na ten obrząd.

Grzegorz czekał co król o tem powie i przekonał się, że to co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykrego, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła podzielać.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem — dokonać się ma to, co mi było przeznaczonem. Tyś świadkiem, że nie pragnął brzemienia tego... nie mogłem się mu obronić... Potrafię ja li je dźwignąć?!

— Miłościwy królu — rzekł pocieszając Grzegorz z Sanoka — już ten pośpiech i gorącość, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego dostoją wiernie... Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic, rozpoczęto wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, zrana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z sokołami szczególnie Władysław jeździć lubił, a tu mu na nich nie zbywało. Codziennie prawie przynoszono je w podarkach, tak że sokołniczych do nich nastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podwórzu zamkowym, gdy wrzawa jakaś w izbach poprzedzających królewskie słyszeć się dała. Rozeznac w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Codziennie prawie się trafiło coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano; Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu, i po chwili wrócił błady a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptaszniczą miał na ręku.

— Cóż to za wrzawa? — zapytał.

— Zaprawdę — bąknął Gratus pomięszany — nie wiem. Człek jakiś nabija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie... straża nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć...

— Któż to? pokrzywdzony może? potrzebujący sprawiedliwości? — odparł król, posuwając się naprzód.

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki go na rozkaz wasz wspomógł jakim datkiem... nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław, marszcząc się i zlekka usuwając Tarnowskiego.

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu, wyrrywający się z rąk dwóm drabom, mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłoniętą piersią obrosłą, krzycząc wcisnął się, a ujrawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić! muszę.

— Puszczajcie go! — zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już po za nieznanym człkiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych...

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza... Padł na kolana, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamiętnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż...

Kłęczący na ziemi, obłąkanymi oczyma wodził dokoła, potem rękami drżącymi począł dobywać coś z sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę... Podniósł ręce ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie po madziarsku...

— Oto złoto — krzyknął — które mi dali służby królowej z jej rozkazu, za to, abym cię zabił, panie!! Tak, przysięgam na to... chciano mnie kupić, wysłano z tem... i oto przychodzę ci wyjawić... Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nim miał czas odpowiedzieć, rzucił pytanie, rozmyśleć co czynić z winowajcą, już za nim krzyk się dał słyszeć i na znak Huniada, porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjuszeni i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić, ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek i ci co go porwali... Cisza zaległa w podwórcach.

Król wstrzymał się z wyjazdem... Cały dwór polski zbiegł się w jakiejś trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnym niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano...

Napróżno wyglądał Władysław, ażeby wiadomość mieć jakąś o człowieku tym i przygodzie... nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa...

Nadchodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczem... Nierychło wreszcie zjawił się Huniady z tą twarzą jaką miewał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamiętniali... poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie, rzekł spokojnie.

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje... Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, plótno od rzeczy... Niema mówić o czem.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne jako szalonego zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nic więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

O losie człowieka nikt nie wiedział, starano się wypadkowi odjąć wszelkie znaczenie i wagę. Król się jednak uspokoić tem nie dał, ale domaganie się jego zbywano odpowiedziami obojętnymi.

Wszyscy usiłowali przez dzień cały uwagę od tego wypadku odwrócić i zatrzeć jego wspomnienie. Na królu wszakże widać było, iż nim znowu niepokój owładnął...



Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomnym, dowiedział się o nim dopiero od jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł go. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone...

Zapytania mistrza zbywał w początku, tak samo jak inni, tłumacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć... Lecz Grzegorza z Sanoka niełatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tem dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę prawdę wiedzieć.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie — szepnął po naleganiu Paloczy. — Człowiek albo istotnie przez sługi Elży przekupionym był, bo ta co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć... albo kłamał dla zyskania nagrody...

— Przecie w końcu pod grozą kary przyzna się — rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem... Brali go na męki! brali! kleszczami go rwali, piekli...

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw? — zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano — dodał Paloczy jeszcze ostrożniej, i oczy podnosząc dodał:

— Któż ich wie? może ci, co się obawiali aby ich nie wydał, śmierć mu przyspieszyli!!

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo! — łamiąc ręce rozpaczliwie wykrzyknął Grzegorz... — O! ten biedny młodzian nasz, po co jemu i nam było leżać w to gniazdo osie!!

Wstrząsnął się Paloczy.

— Nie mówcie tego, nie mówcie... Żłem się wygadał... Srogości tu potrzeba było, dlatego ukarano podłego zoczyńcę! I nikomu nie przebaczymy... Wasz pan za dobry jest, ale my za niego okrutni być musimy. Niech i człowiek ten i pamięć o nim przepadnie!!

Paloczy nic już więcej powiedzieć nie chciał. Wypadek też zatarty żadnych dalszych następstw nie miał. Utajono przed królem los, jaki spotkał winowajcę czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takim zapamiętaniem, że nie badając prawie, życie mu wzięto...

Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekome targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że naslanego zbójcę zadławiono, aby ohydę czynu od królowej odwrócić... może nie był bez podstawy. W pośród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znaczniejsza część potajemnie sprzyjała wdowie...

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę Ś. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu.

Tu naprzód wobec Jaczków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanemi, z której korona wykradzioną została przez starą Kottanerin...

Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 1000 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę dla Bolesława polskiego przeznaczoną oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim zaledwie celniejsi panowie, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go dokoła... Arcybiskup Dyonizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla stojącego przed oltarzem, były też same, które się od tysięcznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarzone, ale starością swą samą uświęcone...

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejzy i Adelajdy.

Wszystkie obyczaje dawne zachowane zostały, sąd pierwszy i na wieży kościoła św. Marcina dobytym mieczem na cztery strony świata cięcia w powietrzu, oznaczające, iż gotów był bronić państwa od wszelkiej napaści.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy, wśród radości powszechnej, zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało...

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozzerwany z państwem, o które wojować musiał... Był panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie z rozrzewnieniem go witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia...

— Spełniły się wróżby... Bóg ci dał potęgę! Dwakroć namaszczone skroń twoją! Apostolski krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szcerbi miecz pogański...

Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

— Amen! — szepnął król po cichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rosł w oczach wszystkich i dojrzał cudownie.

Dawało się to najmocniej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski, stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem... Dziś i on i oni sami codziennie przekonywali, że przerosnął ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy...

Dokoła nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę... Do ostatka w pokorze i obawie wzdragał się wziąć brzemień nad siły, lecz gdy raz uczuł, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znużenia, gdy Grzegorz wszedł, po wszystkich innych powitał go i winszował mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionem...

— Nie winszuj mi — rzekł — ale mi życz, abym godnym był tego, co otrzymałem... krzyża i miecza poświęconego!!

Teraz dopiero poczyna się życie moje, które promienieć powinno cnotą i sławą.

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył niemi...

— Grzegorz mój — szepnął poufalej — gdybyś ty był w sercu mojem, a wiedział, co się w niem działo dnia tego i co przesunęło się przed oczyma mojemu! Czulem jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni...

Łzy mi na oczach stawały... a za niemi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa — dodał również wzruszony Grzegorz — Chrystusa, którego i ta nasza Polska jest córką...

— Kiedy ją ją zobaczę! — westchnął król — kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kaźmirzem dzieje?

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz uspokajając — posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi... Nie opuszczaj nas tutaj...

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd napozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elża, dowiedziawszy się o koronacyi, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga ujechała do Austrii, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

Mogło się zdawać krótkowidzącym, że wojna była skończoną, a przynajmniej zachwianą, bo Fryderyk, ten „pan małego serca” własnych korzyści szukając w opiece sieroty, pomagać mu nie myślał; ale Elża ostatni łańcuch i pierścień gotową była poświęcić dla sprawy syna, a ochotnicy, których łup wojenny łudził, cisnęli się pod chorągwie Giskry, aby Węgrom nie dać spokoju...

## VII

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najlaskawszemu, ojcu Wincentemu z Bożej łaski arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda, 19 grudnia 1442.

*Najmiłościwszy Panie i Ojcze!*

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymawszy zlecenie, abym o tem, co się tu z nami, a najbardziej

z królem naszym, panem najmiłszym dzieje, listownie doniósł; spieszę rozkaz miłości waszej spełnić tem ochotniej, że tą spowiedzią jakoby ciężar i brzemień zrzucił z serca, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się im zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj przewielebny ojcze, wszyscy bez mała chorzy a w nieustannej gorączce trwający, i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bez mała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

Wiadome są miłości waszej, pierwsze przygody na Węgrzech nasze, jakośmy na gotowy tron i królestwo otwarte wesoło spieszyli, a znaleźli kraj srodze zawichrzony, przyjaciół niepewnych, wrogów skrytych i jawnych, pułapki i zasieki na każdym kroku.

Jeżeliśmy dotąd szczęśliwie i z chwałą wielką dla pana naszego wyszli z onych zasadzek, zasługując na imię dobre u bliskich i dalszych, szczególnej to opiece Bożej i modlitwom pobożnych zawdzięczamy.

Zważyć albowiem potrzeba, żeśmy i my dosyć nieświadomi kraju tego przybywali i król nasz jeszcze sztuki rządzenia nie miał czasu się nauczyć tem, co najskuteczniejsze, doświadczeniem.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przewyciężenia, trudnościach, nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane...

JMks. biskup krakowski powracając z Budy po koronacyi, najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czem (*pars magna fuit*) brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tem uwieńczeniem pana naszego tak uroczystem, koroną apostolską Szczepana świętego, wszystko szczęśliwie dokonaniem zostało. Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda... Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna, nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroję dlatego przywdziewa, aby żądzy łupieztwa i mordu zadość uczynił...

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych, od Gary, od innych panów węgierskich, tego ani chcę opisywać, ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się dopraszać na zjeździe, o tem miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elży, z drugiej pogan od Adrianopola na granice i w same wnętrzości niemal państwa tego wkraczających, a okrucieństw swemi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do Polski się odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podolać.

A jako ten pan nasz, przez wszystek czas upłyniony, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podolał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogąc. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególnie wojewoda Huniady zarzuca, iż zbytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest łaskawość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebacającego, a nie zdarzyło się go nam widzieć domagającego kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele serc pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowy skłonić do układów, wielekroć przedsiębranych.

Zbliżka będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyc mogę, jak bolał i boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet Ojciec św. Eugeniusz IV i zachodni monarchowie Europy, widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawemi łzami nieraz oplakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia korony, którą mu gwałtem narzucono, a z nią razem potwarzą okryto... Stokroćby się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale go tu związane przysięgą, i musi bronić nietylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołku krzyż Chrystusów jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem choć młody wiekiem pan nasz...

Walk tych z Turkami z jednej strony zwyczajko wiedzionych przez walecznego wodza Huniada, z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomem miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest kościół i cały świat chrześcijański tą rozterką, która Ojca św. Eugeniusza IV papieża z Soborem bazylejskim poróżniła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłą swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek akademia krakowska za nowo obranym Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wierni dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa, w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tem skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłanym biskup trydentski, patriarchy akwilejski, książę Aleksander mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony, skuteczniej na umysł jego wpłynąć może.

Ze strony Eugeniusza IV wybór posła niemniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawy i ludźmi naszymi najprzewielebniejszego biskupa Sabińskiego, kardynała Juliana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łatwo mógł zawczasu przewidzieć przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną jednak miarą porównać go do biskupa Sabińskiego nie było można. Wszystko na czem zbywało akwilejskiemu patriarsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw, bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmqordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, naostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważanem było, że patriarchy akwilejski w tropy Cesariniego chodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości a przenikliwości wielkiej, podolać nie może.

Węgry też, jako stały wprzód przy Eugeniuszu IV, tak wierni mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa Sabińskiego do Budy i króla naszego, nowe jakoby życie w nas wlało.

Zwątpiliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini przybywszy tu odrazu nas natchnął nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnym skarbem wyczerpaniem i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austriacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał...

Przybywszy tu w czerwcu kardynał Cesarini, ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody... W panu naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron Władysław król nie wzdychał, tylko do przejednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnem było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części praw swych, upragnionym.

Bliżsi go będąc niż inni, jako domownicy, najdowodniej o tem poświadczyć możemy. Tu więc ziarno padło na rolę dobrze przygotowaną i uprawną.

Byłem przytomnym, gdy biskup Sabiński poraz pierwszy życzenie to wynurzył, na co król mu odpowiedział: „Nikt nademnie gorącej tego nie pragnie, ale też i mniej się tego nie spodziewa. Posyłałem do królowej niejednokrotnie do Presburga i do Jawrynu, ofiarując gotowość do wszelkich ustępstw, królowa zawsze je odrzucała. Z panami węgierskimi zagać sprawę tę było trudniej, gdyż niewielu z nich pojednania żądało, z różnych powodów się go lękając, a najmożliwszy pod czas Huniady, oświadczał się stanowczo i wyraźnie przeciw wszelkiej zgodzie, któraby jakikolwiek uszczerbek królestwu przynieść mogła.”

Nie zrazil się tem jednak Cesarini, i poczęły się odtąd podróże jego do Jawrynu, kędy królowa przebywała, dłuższe na dworze jej zamieszkiwanie i przygotowywanie...

Nie bez podstawy ufał kardynał potędze słowa swojego, albowiem mało jest ludzi na świecie, którzyby równą jemu obdarzeni byli. Nie spotykałem w życiu mężów, coby

zręcznie, wchodząc zawsze napozór w myśl tego, z kim mieli do czynienia, zwolna go na to pole wyprowadzać umieli, na którym mieć chcieli. Sądzę też, choć świadkiem rokowań nie byłem, wnosząc z tego, jak się one z drugimi odbywały, że kardynał i królowę do zamierzonego celu doprowadzić się starał.

Jeżeli mu się to nie tak prędko i nie tak łatwo dało spełnić, przypisać trzeba macierzyńskiemu uczuciu, obrażonej dumie, niewieściemu uporowi i kilkoletniej walce, która nadzieję dalszego jej przedłużania, usprawiedliwiała.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynie, powracając do Budy z niczym, ale z umysłem niezachwianym, nigdy nadziei nie tracąc.

Z królem zaś o zgodzie mówić nie potrzebował, tu on miał cel inny, i równie jak pierwszy do osiągnięcia łatwy. Usiłował skłonić Władysława, aby stanął na czele wojska chrześcijańskiego dla złamania tureckiej potęgi. Więc obietnice pieniężnego zasiłku od papieża, ogłoszenia krucjaty, wysłania w pomoc floty, nadciągnięcia posiłków z Niemiec, Włoch i dalszych krajów, wszystko to powtarzaniem było. Lecz, żeby wodzem stanąć na czele tej potęgi, potrzeba było wprzód Węgry zabezpieczyć, z królową i cesarzem pokój lub rozejm zawrzeć długoletni. Tego żądał król i Węgrowie, a potrzebę widział kardynał...

Wszelkie więc staranie ku temu skierowanem być musiało.

Rachował Cesarini na to głównie, iż w Jawrynie przebywając, miał zręczność przekonać się najdowodniej, jak wszelkie zapasy i środki pozyskania pomocy pieniężnej wyczerpane zostały...

Na tem zubożeniu królowej Elży wszystko się budowało.

Jednakże przywieziona do ostatka wdowa, widząc jak pokój był potrzebny, nie tylko Władysławowi, ale światu całemu, twarde stawiała warunki, a z godnością, dostojeństwem, nawet wciąż pana naszego nie dające się pojednać.

Stojąc przy tem, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała aby Władysław zrzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządy zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna aż do dojścia jego pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprawdzie królowa ziemię spiską i sumę na Szląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Kaźmirzowi młodszą) oświadczała się dać w małżeństwo; ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały...

W ten sposób wszelkie ich czynności, uroczysta koronacja w Białogrodzie, a jako oni mówili wszelkie ich prawa, w niweczby były obrócone i na pośmiewisko wydane.

Alści na tem właśnie rozbijało się wszystko, że królowa prawa wyboru króla przyznać im nie chciała, tron uważając za dziedziczny, gdy oni przy swobodzie wybierania monarchy obstawali.

Zdawało się więc po kilkakrotnej bytności kardynała w Budzie i Jawrynie zachwianem wszystko...

I zaprawdę dla każdego innego pośrednika jużby było nietylko niepewnem, ale straconem. Tylko bystrości umysłu i niezmiernej wytrwałości kardynała, zawdzięczać należało, iż się wszystko na próżnych słowach nie zerwało odrazu... Choć los później inaczej dokonał, co przeznaczonem było...

Przeciagnęły się te rokowania nadaremne do miesiąca Grudnia...

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż wcale latom swym i dostojństwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów, młodzieńczego wieku, widywać tak powolnemi rządzeniom losu, tak łagodnemi w przeciwnościach, tak łaskawemi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają...

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, namowy, argumentami, króla niejako w oblężeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć przestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy

rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był pożądanym dla kościoła, chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego...

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwencję o tem dziekan Lasocki. Na co my pobożnym responsem, chórem odpowiadaliśmy: Bóg daj!!

A przyszło-li potem z panami węgierskiemi mówić, burzyli się i wołali, że jakkolwiek pokój pożądanym był, oni go ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierac nie mogą.

Przybył wreszcie zmiękczywszy już królowę kardynał, wielce uradowany tem, co przywoził, w grudniu, oznajmując, iż królowa gotową była osobiście z Władysławem widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą zdala wydawać może, przecież było wielkiem nad umysłem królowej odniesionem zwycięstwem... Albowiem wiedzieć potrzeba, jakośmy tego mieli dowody, iż królowa dawniej nienawiścią i chęcią zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nietylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków. Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepelnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich, ułękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elża, która, (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austryaków zamek zawczasu obsadziła.

Węgierscy panowie zrazu króla do Jawryny puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zakłęk jego... Powiadali, że po królowej, która już niejednym raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz w tem król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Z góry zapowiedział, że ani się lęka, ani może okazać strachu, że królowej ufa i z małym poczem pojedzie tak bezpieczny, jakby do własnego domu.

Napróżno go usiłowano przekonać, żelazną wolą obstawał przy swoim, a ile razy ją objawiał, wiedzieli Węgrowie, że się złamać nie da. Dobroci niewyczerpanej, do przebaczenia zawsze gotowy, jak ojciec hojny i rozrzutny, miał to do siebie król, że gdy myśl własną z serca zacerpnął, nie dozwolił jej odjąć sobie nikomu.

I tym więc razem, wyjazd do Jawryna postanowiony został, na co Węgrowie koso patrzali. Do orszaku też króla wyznaczono przeważnie polski dwór. Dwóch młodych Tarnowskich, dwu Zawiszów, ze starszyny też kilku, dziekan Lasocki, bo ten nigdy nie odstępował, gdy o ważniejsze chodziło sprawy, naostatek i ten, który słowa te pisze, jako kapelan i spowiednik do orszaku został włączony...

Kardynał Cesarini towarzyszył nam jako zakładnik, poręczyciel i pośrednik, a jako był szczęśliwy jadąc, że do tego terminu doprowadził nas, wyrazić mi trudno.

Nie bez wzruszenia też pewnie jechał król, pan nasz i twarz jego młoda o niem świadczyła. Kilka lat wojując z królową, znając ją jako nieprzyjaciółkę nieprzejednaną, na końcu jechać do niej, było ofiarą, którą tylko mąż tak wielkiej przebiegłości, jak kardynał, mógł wyjednać.

Ofiara to była dla kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa...

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojeństwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzełszy dwór rycerski Elży i panów, którzy jej służyli, dosyć okazałe przystrojonych i zbrojnych. Szło jawnie o to, aby niedostatek i ubożenie się nie okazało przed obcemi.

Szliśmy wszyscy z królem przez kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elża, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja com ją w podróży niegdys z Pragi do Znaim jadącą przy ojcu Zygmuncie oglądał zdala, naówczas młodą, świeżą i krasną, zaledwie poznać mogłem w niewieście przed czasem zwiędłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cierpienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litośćby obudziła dla siebie... Pomimo to, wielką powagę miała cesarskiej córki i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i ukłon oddawszy, nieśmiało się przybliżył, wpatrzywszy się wprzód w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznem wzruszeniem skłoniona do tego, królowa podała mu ręce obie...

Tak się pierwsze powitanie dosyć milcząco ale pomyślnie odbyło, a kardynał zabrawszy głos za oboje, zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany...

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do obu dworów należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą zaczęły...

Tego dnia, jak sądzę, do żadnych układów nie przyszło... zaledwie do wzajemnego przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak jak przystało królowej, i na niczem nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć bezpieczeństwo poręczał kardynał, przecież polska straż królewska przez całą noc na przemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie poszły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbyt ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba...

Władysław po przewyciężeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbyt niemi wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać czem w istocie był, tak sądzę że dopiął tego... Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozpogadzało... Można było widzieć na niem i czytać, że skutek rokowań obiecywał się pomyślnym. Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla świadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Król w podarku złożył Elżbiecie kilka szub sobolowych z Polski przywiezionych i otrzymał wzajemnie kilka dzielnych koni.

Zauważyliśmy wszyscy wprzód jeszcze, niżej o warunkach byli uwiadomieni, że królowa z poufałością prawie macierzyńską, z panem naszym obchodzić się zaczęła, a i uśmiech, acz smutny, na ustach się jej zjawił.

Na Zapusty król zaprosił Elżbietę do Budy, która mu bytność swą przyrzekła... O warunkach ugody mówić nie chcę, gdyż, jako się niżej okaże, i ona i wszystko cośmy z pomocą kardynała z wielkim wysiłkiem dokonali tu, dziwnem zrzędzeniem Bożem w niwec obrócone zostało...

Mnie ostatniego wieczora oświadczył król poufnie, iż królowa Elżbieta wielce mu się życzliwą okazała i z zupełną ufnością potajemnie zaręczyła, że tronu węgierskiego ustąpi, połączwszy go ze starszą córką swoją, że go jak syna miłować będzie i we wszystkim posiłkować i pomagać mu nie przestanie, byle się starał z rąk Fryderyka króla rzymskiego jakimikolwiek środkami syna jej i koronę jego odzyskać, a razem i dziedziczne księstwo austriackie, które zagarnął.

Gdy przyszła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam cześć i szczęście, wyznać muszę, że go dawno tak wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądałem. Miałem sobie do wyrzucenia, iż dziwnem usposobieniem wewnętrznem, czułem się smutnym i niespokojnym, jak gdybym w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał...

Na prośbę królowej z naszego dworu dziekan Lasocki, który przy spisaniu ugody był prawą ręką kardynała, w Jawrynie pozostał. Myśmy z dobrą myślą do Budy powracali, krom mnie, który jechałem smutniejszy nazad niż gdyśmy do Jawryny ruszali. Działo się to dnia czternastego Grudnia...

Nieprzewidziane są wyroki Boże... Gdy Cezarini zwycięstwem swem, a my wojny ukończeniem cieszyliśmy się, naprzód to nas spotkało, że pozostali w Budzie panowie, o warunkach jakkolwiek korzystnych pokoju usłyszawszy, od razu przeciwko niemu głosy podnieśli. O wyposażeniu córek Elżbiety kosztem państwa i oderwaniu choćby piędzi ziemi od niego ani słyszeć nie chcieli. Kardynał dał im wołać i gardłować, jak zwykle czekając by burza z gromami przeszła i umysły się uspokoiły. Pochlebiał sobie, iż ich skłonić potrafi.

Nie miał obyczaju w zgromadzeniach z wielu głów złożonych, silić się sam jeden przeciw wszystkim, ale pojedynczo biorąc przeciwników zniewalać do zmiany zdania; a dopiąwszy tego, by większość nawrócił, dopiero występował... I tu zapewne takby się obszedł z nimi, gdyby Bóg inaczej nie zrządził.

Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę, widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nieuskarżającą.

Nagle w cztery dni potem naprzód goniec z Jawryna, potem sam dziekan Lasocki, nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elża nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanował, a boleści i żalości króla, rozpaczy niemal biskupa Sabińskiego, którego dzieło, trud kilkomiesięczny marnie przepadł, słowy słabemi nie potrafię.

Przyczyna tego zgonu tak nagle, jednemu Bogu najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki zakrytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój był nie na rękę, równie jak zaciężnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Lasocki opowiadał o niesłychanym zamęcie na zamku w Jawrynie, o płaczu wiernych niewiast przy zwłokach królowej.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast musiał na nowo rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężiej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tem, by rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi Sabińskiemu zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło nigdy o interesa pana naszego, byleby wyprawę przeciwko Turkom uczynić możliwą. Coby później po odniesionych zwycięstwach nastąpić miało, o tem nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się godzi, iż nasby poświęcić gotów dla obrony krzyża.

Z jego natchnienia już raz tu przybyło poselstwo tureckie, które nam pokój wprawdzie pod ciężkimi ofiarowało warunkami, ale, gdy się o nie z Grekiem układać było można, odesłaliśmy precz z niczem.

Postarał się Cesarini, byśmy je z wielką wspaniałością i wojenną okazałością przyjmowali... Zdumiewali się nam Turcy i towarzyszący im Grecy, którzy Boga zaparliszy poganom służą, ale nic nie wskórali.

Wszystko tu u nas brzmi i rozlega się przyszlą wojną. Nagli o nią Paleolog, żąda jej papież, zachęca pomoc obiecując cały świat chrześcijański, a i młody pan nasz duszą i sercem jej pragnie... Wreszcie sługa wasz, który te wyrazy przesyła, radby też wojnę mieć i widzieć skończoną, abyśmy wraz z królem w pomoc pospieszyli naszemu królestwu, które z jednej strony lotrzyki szlążkie napadają i plądrują, z drugiej Tatarzyn najeżdża, ażali prawda aż pod Lwów nasz się zapędzając!!

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historia, żeśmy własnego kraju zabywszy, własnej zaprzawszy się sprawy, stali na rubieżach za krzyż Chrystusów walcząc... A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją odziany, czeka tu rychłoli mu znak dadzą, aby szedł w bój... i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, ażali nie godzien najwyższej chwały?!

Co z nami wyгнаńcami, w służbie przeciw nieprzyjaciółom krzyża, stanie się i jako obróci dola nasza, jeżeli żyw będę, miłości waszej, panu mojemu najgodniejszemu nieudolnem piórem nakreślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom jej niegodnego polecając sługę...



## VIII

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał.

Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowa przypochlebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć, i jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu.

Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale biskupie Sabińskim i prawej ręce jego dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad umysłem Władysława dozwolił osiągnąć władzę wielką.

Grzegorz z Sanoka, kochając młodzieńca, na którego rozkwitnięcie patrzył, więcej go chciał mieć dla kraju, dla Polski, niż dla świata. Ale mógł-że walczyć z ludźmi, którzy mu ciągle sławę wielkich bohaterów prorokowali, Aleksandrem go i Cezarem przyszłym głosili, wystawiali mu chwałę, jakiej się miał dobić, i gorące serce rycerskie rozpalali, nie dając zwrócić się ku własnej ziemi i rodzinie.

Cenił i kochał król zawsze mistrza swojego, rad się mu zwierzał, rad przed nim westchnął, ale się nie taił, że wielkiego owego głosu, którego papież Eugeniusz IV był tłumaczem, powołaniu na wodza i obrońcę usłuchać musi.

Rosło w nim serce bohatera, a Grzegorz, choć ze łzami w oczach, oziębiał go nie śmiał i przeciwieć się szlachetnemu popędowi.

Ogarniał wszystkich zapal, który dokoła siebie kardynał szerzył, mając jakby od Boga zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Władysław urośnie na pierwszego bohatera swych czasów...

Król tak codziennie podzeganym, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska otaczająca go, uczucia te podzielała... Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor, pośrednik dziekan Lasocki wtórował wiernie kardynałowi...

Zjednany tym samym widokom, wslawiony już zwycięstwami, chciwy nowych bojów i dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawil o walkach z niewiernymi i o możliwości odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy...

Zdawało się, że rozpocząć tylko było potrzeba wojnę, iść i zwyciężyć. Kardynał Cesarini ofiarował się też z krzyżem w rękę razem ciągnąć i stawać na placu boju... Obiecywano posiłki zewsząd, przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i innych krajów, o których mówiono wiele, przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i lichy zbrojni lotrzykowie, którzy gdzieindziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany przez króla nazad, nieopuszczający go prawie, choć tak jak bezczynny, z bogactw jego doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły...

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzód niemiecki sobie zupełnie przyswoił; przyjaciół zjednał wielu, nikogo z tych, których miał, nie stracił, i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, plątało i gotowało na przyszłość.

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczoność jego, łacinę, podziwiał do języków zdolności, bo Grzegorz z podróży włoskiej i italskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego narzędzia, jakiego potrzebował, wcale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, a co mu Grzegorz miał właśnie za złe, siebie zarówno, ale i młodego króla.

Z Grzegorzem więc miłą się zabawiał pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wystugiwał.

Niepospolitym też on był człowiekiem i niedarmo ulubieńcem biskupa Zbyszka, który go tu na swem miejscu zostawił. Uczony, bystrego pojęcia, w pracy niezmordowany, życia wstrzemięźliwego, żelaznego zdrowia, zawsze gotów zarówno sięgnąć na koń i do pióra a z obu skorzystać, jak należało, dziekan był ulubieńcem kardynała, który nie wahał mu się najświetniejszej obiecywać przyszłości.

Poeta i śpiewak, Grzegorz z Sanoka nie nadawał się do spraw, wymagających przebiegłości, utrzymując głośno, że prostą drogę zawsze uważał za najkrótszą i najlepszą.

Trochę więc go lekceważono, a on obojętnie i nieco ironicznie na krzątających się poglądał...

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego pana „małego serca”, który własne interesa zawsze stawiał przed innymi, udało się nieznużonemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach...

Było to raczej pozorne niż rzeczywiste zabezpieczenie się od domowej wojny, bo namienne Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach...

Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król ani Huniady, nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało w pogotowiu, tak, że gdy kardynał przybył z powrotem, zawrzało w Budzie... i wnet pułki wyciągać zaczęły...

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przyszła, powitał Grzegorza, jak zwykle powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem...

— Idziemy nareszcie! idziemy!

Oczy mu pałały, drżał cały...

— Ty stoisz zimny — dodał z wyrzutem — jak gdyby ci sława moja drogą nie była.

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebaczyć mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie masz... ja czuję, że powołany do boju!! Wszystko się tak składa, abym w rękę Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha!!

Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmóżdż potrafią!

Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieżkim, mamy ochotników, mamy Krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Wołochów...

— I co najlepsza — dodał Grzegorz — Polaków, którzy za ciebie królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi...

— Zwyciężymy!! — krzyknął król z zapalem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wierszem łacińskim podasz potomności sprawy nasze??

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać je mając, oglądał...

— Jakto! chcesz być z nami — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżebym ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić??

W ten sposób Grzegorz z Sanoka, zaciągnął się także na tę krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na pierś...

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszy, szli z królem polscy panowie: podkanclerzy Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa, Mikołaj z Chrzastowa, Mikołaj Różyc z Zakrzowa, Hinka Toporczyk z Balic, Michał Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystko rycerstwo najdzielniejsze, którego widok sam mógł trwożyć w nieprzyjaciela...

Z Węgrowskiego brało ochotny udział w wyprawie...

Mniej okazań stawiały się pułki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były...

Przy królu jechał z krzyżem w ręku, przez krucyfery poprzedzany, kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnąć, dopókiby śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód, po uroczystym wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu we dzwony i modlitwach po kościołach... posuwał się w takim ducha podniesieniu, z tak ognistym zapalem, że gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjaciel stawił czoło, jak burza zniósłby go ze szczętem...

Z nadzwyczajnym pospiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofii. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek

rzucili. Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla... Pierwszy on do dnia dosiadał konia, kładł się na spoczynek ostatni, był jakby gorączką jakąś trawiony...

Nie dawał też mu ostygąć kardynał, równie bojowniczego ducha... Nic się oprzeć nie mogło zwyciężkim zastępom, a każda walka dodawała męztwa...

Turcy zasadzki czynili, napadali z boku, czatowali po wąwozach, rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

D. 3 listopada po wielu bitwach zwyciężkich, nastąpiła krwawa i szczęśliwa pod Niszą...

Zdobyto wrota Trojana, wąwozy Ssulu-Derbend... Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali przejścia, kryli się za skałami, z wierzchołków gór zasypywali strzałami...

Wśród tych szczytów okrytych śniegiem, po drogach zeszlonych od lodu, położyło się wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilii Bożego Narodzenia... Zwycięzki pochód, nieustanne utarczki pomniejsze, niedające chwili do rozmysłu ani na spoczynek, utrzymywały wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepiał na następstwa i nie dawał widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego, gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dął śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu, aby jeśli nie zdjąć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszków, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadchodzącą zimą, pozamykane wąwozy, w których głębinach Turcy siedzieli, pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna...

Ale kardynał Cesarini, który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

Grzegorz z Sanoka u małego, rozpalonego z biedą ogieńka, pod nędznym namiotem, którym wicher targał a śnieg doń zalatywał, grzał ręce zbiedzony, gdy nadszedł podkanclerzy Piotr ze Szczekocin...

Nie zdjął on był zbroi z siebie ani hełmu, w rękę trzymał kilka strzał, które w jego kozuski żelaznej uwięzły, a jedna z nich u ramienia lekko raniła...

Był to jeden z najwaleczniejszych rycerzy, i jeden z najtroskliwszych o króla...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus mistrzu Grzegorzu — odezwał się do siedzącego, który nie dojrzał nawet gościa. — Jutro wigilia do Godów, pono ryby nie skosztujemy...

— Bylebyśmy chleb mieli — westchnął Grzegorz.

— Niewszyscy go na pewno dostaną — odparł podkanclerzy — kardynał sam żyje słowem Bożem i ogniem świątyni, ale my, niegodni grzesznicy wkrótce jeżeli nie od strzał nieprzyjacielskich, to od mrozu i głodu poginiemy, Bogu na chwałę, ale komu na pożytek, nie wiem.

Grzegorz się uśmiechnął, poprawił ogieńka, który wiatr gasił.

— Mistrzu, czasby nam jeśli nie o sobie, to o królu pomyśleć — dodał Piotr ze Szczekocin. — Wy ucho pańskie macie. Włoch, święty człek, ani słowa, ale ani kraju nie zna, ani wojny nie rozumie...

Zwycięstw, dzięki Opatrzności, odnieśliśmy dosyć, dokazali cudów... Turcy dokoła nas otaczają, nam głód doskwiera, zima nad nami... nie wyjdzie ztąd noga nasza!

— Ucho pańskie wprawdzie dostępne jest dla mnie — odezwał się Grzegorz — ale jakże zwyciężcę zatrzymać? Nie widzi on i nie chce dojrzeć niebezpieczeństwa, a gdyby je przeczuwał nawet, jedno słowo kardynała popchnie go dalej...

— Na Boga, mistrzu — przerwał podkanclerzy — króla i sławę jego ratować potrzeba. Zwyciężyliśmy, lecz pragnąc nad siłę, stracimy plon zdobyty... Mówcie mu...

— Ja? — odparł Grzegorz. — Nie posłucha mnie. Idźcie wy wszyscy, coście dali męztwa i wytrwałości dowody, macie większe prawo przemówienia nademnie...

— Chodź-że i ty z nami — zawołał podkanclerzy — król jest w swoim namiocie i już do jutrzejszej się przygotowuje potyczki, która nas nieochybnie czeka, bośmy w okół otoczeni. Chodźcie.

Cokolwiek zawahawszy się wstał Grzegorz, poprawił kozuszek na sobie i wzdychając szedł za podkanclerzym.

W gołem na polu, na śnieżnej zamieci, pootuleni opończami, nieopodał stali, ci-cho radząc rycerze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Nałęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli po cichu, ale z żywością wielką, gdy Piotr ze Szczekocin nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł przystępując podkanclerzy.

O kilkanaście kroków był namiot Władysława, z prostych wołoków, mały i ciasny. Świeciło się w nim trochę, a przez co chwila uchylane oplotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież napelniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamazłe rozgrzewała wino i resztki skostniałego od mrozu mięsa.

Władysław stał w pośrodku, hełm zdjawszy ze skroni, z włosami rozpuszczonemi, z oczyma błyszczącemi, z czołem promieniejącem. On, Tarnowscy, Zawiszowie, żywą prowadzili rozmowę. Kardynał obok w drugim namiocie znajdował się na modlitwie...

Gdy starszyzna ukazała się u wnijścia, rozstąpili się młodszy, król zobaczywszy ich gromadą wciągających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej — rzekł — z obowiązku sług wiernych. Szliśmy naprzód nie zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć przyjdzie. Wojsku żywności brak, konie padają, mróz ściska, Turcy nas osaczają, a zima i śnieg dobiegają.

Miłościwy panie, myśmy ginąć gotowi, ale tobie młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwycięstw i dzieł, nie możemy dać tu zastrzegnąć marnie...

Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać! czas...

Wszyscy za podkanclerzym potakująco zawtórowali.

Król drgnął z niecierpliwości.

— Na Boga — zawołał — wracać, wracać, gdyśmy u progu zwycięstwa?

— Progu tego nie przestąpimy — rzekł podkanclerzy. — Ludzie padają jak muchy... Nie przed Turkiem ustąpię, ale przed mrozem i śniegiem, przed głodem!

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo Piotra. Król stał widomie zafrasowany...

Wtem z boku podniosła się ścianka i kardynał w sobolowej szubce wcisnął się do namiotu. Twarz jego zbladła wyrażała przestach, oczy niespokojnie biegały...

Król jakby na pomoc wzywając, wejrzał ku niemu.

Cesarini podnosił już ręce.

— Mówicie o odwrocie — zawołał — teraz, w tej chwili, gdy... krok dalej a hordy te pierzchną strwożone przed nami... Chcecie laur zwycięzki zedrzeć ze skroni waszego króla...

— Wasza przewielebność — począł powoli Paweł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się z wojskiem dzieje... Z głodu i zimna zginiemy tu wszyscy... Koni połowa padła, w każdym obozowisku zostawiamy trupy, nie od strzał nieprzyjaciela, ale od chorób i wysiłku... Litość mieć potrzeba nad ludem tym...

Cesarini zamilkł spuściwszy głowę.

— Próżne obawy — szepnął cicho — opieka Boża nad nami... Opatrzność nie da ginąć żołnierzom Chrystusowym...

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz, ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa — rzekł trochę szorstko podkanclerzy. — Daliśmy dowody, że nam na męztwie nie zbywa, że nie z obawy ustąpić chcemy, ale z musu...

Wtem król, który słuchał zmieszany i smutny, wyciągnął ręce ku nim...

— Pietrze — odezwał się do podkanclerzego — zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilia do Godów... jutro... tylko dozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walką zwyciężką stoczymy...

Potem — dodał ze smutnem westchnieniem — jeżeli rada wojenna postanowi, po-ciągniemy do Budy!

Wszyscy zamilkli, skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza — rzekł spokojnie — lecz pojutrze, niedalej musimy wracać, jeśli choć część wojska, miłość wasza, do Budy chcesz doprowadzić...

Natychmiast cofnęli się wszyscy z ciasnego namiotu, w którym król, kardynał, na boku młodzież, a u wnijscia Grzegorz z Sanoka pozostał. Zmierzył go nieufnym okiem kardynał, jakby w nim przeczuwał przeciwnika.

— Znużeni są rycerze nasi — przerwał milczenie Cesarini — przebaczyć im to należy, lecz zaprawdę źle obrali chwilę do żądania odwrotu...

Stracimy owoc całej wyprawy!

— Lękam się — odezwał śmiało Grzegorz z Sanoka — aby dla owocu drzewo nie runęło. Siły ludzkie mają granice... a myśmy do niej doszli. Stan wojska okropny, śmierć grozi... Jeszcze chwila a zguba nasza nieochybna. Turek nas wojować nie potrzebuje, zima jest mu najlepszym sprzymierzeńcem. Bitwy nie wydaje, bo wie, że legniem i bez niej...

Król słuchał jakby zawstydzony. Cesarini się odwrócił milcząco...

— Rycerstwo to — dodał Grzegorz — tyle okazało męztwa, że mu uwierzyć można, gdy mówi, *non plus ultra*. Ono zginąć gotowe, lecz króla ocalić mamy obowiązek...

Syknał kardynał.

— Wszyscyśmy na równe wystawieni niebezpieczeństwo — rzekł — czemuż go nie czujemy?

— Waszej przewielebności święty zapal — odparł mistrz — nie daje ziemskich rzeczy dojrzyć.

— Jutrzejszy dzień rozstrzygnie — wtrącił król gorąco. — Zwycięstwo pewne... Ono podźwignie wojsko i sił mu doda...

Cesarini ręce podniósł ku niebu.

— Ten, którego narodziny w żłobku betleemskim pojutrze radośnie obchodzić mamy, Pan nasz i Wódz nasz zaopiekuje się nami...

Natychmiast król, jakby nie miał już rozmowę chciał przerwać, zapytał Grzegorza z Sanoka o Zbigniewa Rosperskiego, który tego dnia strzałą pod pachwinę ugodzony, na wozie do obozu jechać musiał, bo dużo krwi utracił.

Grzegorz odpowiedział, że ranę zawiązano i krew zatamowano, ale Rosperski spoczynku potrzebował.

Wtem wniosła czeladź rozmarzłe wino, chleb czerstwy, ser i skromny posiłek, którego pomimo znużenia, ponieważ dzień był piątkowy, zaledwie dotknięto...

Późną już nocą, pokładli się, kto mógł na spoczynek krótki, ledwie rozdzielając ze zbroi.

Zaledwie szarzyć zaczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dookoła górach, dostrzegły cmy pogan, które stanowisko obrawszy sobie ponad wojskiem, zabierali się zasypać je strzałami. Gdzieniegdzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słychać było...

Król już zbroję wdziawszy konia niecierpliwym dosiadał i rwał się prowadzić swoich... Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie. Jeden z pierwszych, Cesarini, siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał...

Równy ze dniem, nie z jednej strony, ale naokół, zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że Turcy czuli, iż nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle... Lecz brzmiała już Bogarodzica, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały...

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który z konia nie zsiadając modlił się i błogosławił. Patrzył na króla swego, który uniesiony przez konia... zniknął mu z oczów wśród tłumy wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się jak grad i słychać było zdala dźwięczenie ich na zbrojach...

Dwa działka małe, które król miał z sobą, ustawione z boku, nabite drobnymi kulami, wspięwanymi w nie, dały się słyszeć zdala i huk ich rozległ się po górach... Tam gdzie padł ich strzał, motloch pierzchał... W ślad za nim biegli konni...

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga z gór spuszczała się, jakby w ich wnętrzach niezliczone się tłumy legły...

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wąwozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zajadłością walczyło z poganami... Przy wozach i obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzane do boju biegly... Ponad tem śnieżnem pobojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące...

Nadeszło południe... Na chwilę z za przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała... Cesarini modlił się upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można. Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach...

Z południa już, pieszo, straciwszy konia, ranny w twarz, bo hełmu nieostrożnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki...

Grzegorz z Sanoka pospieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje? — zawołał.

Zwrócił się i kardynał ku niemu.

— Z królem! — odezwał się Dołęga. — Nie wiem już ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbijał a siekł pogańców!

Podkanclerzy hamował go napróżno... Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za nimi nie można, na karki nam spada ta szarańcza...

Cesarini pobladł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwa i strwożył się o króla.

— Wezmijcie konia mego — odezwał się — a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mu się potrzeba...

Mrok zaczynał padać, gdy w końcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męztwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były niemi usłane, zwolna dla nocy samej cofać się zaczęło...

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla tylko, Cesarini niecierpliwszy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wąwozach i na płaszczyznach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwyciężką, którą wiatr zrywając, roznosił... Górą niebios a za białych obłon wieczornym lazurem przyćmionych, nocne wypogodzenie i mróz zapowiadały...

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą oznajmują wieczerną z starochrześcijańskim obyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczoraj domagali się powrotu, dnia tego dokazywali cudów, wojsko, oprócz zaciężnych papieżkich żołnierzy i cudzoziemców do zimna nienawykłych, skostniałych, biło się bohatersko... Król wracał ranny w rękę, mnóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nieznacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylana.

Z podniesionym hełmem jechał teraz... śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś na krążgankach zamku krakowskiego swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie...

Ponad głowami ich powiewały górą podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława, Jerzego i królewska... Starsi rycerze jechali poważni i zadumani... Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkanclerzy naradzał się ze swemi. Postanowiono, jakby wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do zwinięcia obozu...

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, po-giętą zbroję i cały pęk strzał, które wiozł germek, wyjąwszy je uwięzłe w królewskim rynsztunku...

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy! — zawołał król wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie — odezwał się mistrz śmiało — Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ale też to dzień boju ostatni...

Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ Begler-bey Rumelii, Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzyną wiele, chorągwi nabrano tyle, że niemi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można... Czas powracać!!

Władysław odwrócił się smutny... Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, milczał...

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgierscy i polska starszyzna.

Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wąwóz Isladi nie posuwać...

Ludzi chorych, koni rannych było bez liku, część wozów dalej już iść nie mogła. Żywność była wyczerpana... Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień Godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęto robić przygotowania do podróży...

Wielką ilość wozów, uprzęży, broni, sprzętu wojennego, musiano dać na pastwę ognia, aby się nie dostała nieprzyjacielowi. Konie ranne dobijać kazano. Poukładano stopy olbrzymie, podłożono płomię i rycerstwo otoczyło je, ogrzewając się przy nich wesoło...

Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu...

Wczorajsi wojownicy, Turcy zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc co znaczyły.

Król spoczął przeciw dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jada zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta uczta na pobojuwisku była prawdziwie rycerską i mniszą, i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia Godów, ruszyły pułki z wąwozów wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciel, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia, pogaństwo ściągawszy się do kupy, na tyły i tabory rzuciło się z wrzaskiem zwykłym, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia, kazały się domyślać, że wojsko słabem się czuło...

Zaledwie wisk dziczy usłyszał król i znany świst a szelest strzał, nic go już utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyzna polska, inne też pułki zwróciły się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapalem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńcem zuchwalstwem puścił się w pogoń za niemi, i ze swojemi pięciuset Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa...

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego hufca zwycięzkiego, iż Turcy w wąwozy i parowy cisnąc się i uciekając wkrótce zniknęli...

Króla, podkanclerzy, konia mu za cugle pochwyciwszy, ledwie mógł powstrzymać, aby dalej się nie zapuszczał, gdzie zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięzka, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przerażeni zostali... Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe, niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojny i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

To co wyliczał królowi przy powitaniu Grzegorz, zabicie Begler-beya Rumelii, wzięcie w niewolę zięcia Amuratowego Mohameda Czelebi, grody i chorągwie, łupy zabrane, starczyły na okrycie sławą wodza chrześcijańskiego, młodzieńca, na którym teraz świat cały największe pokładał nadzieje. Po ostatniem odparciu Turków, pochód dalszy był już zwyciężkiem ciągnięciem, radosnem a wesołem...

Przodem kardynał wysłał gońców, wyprawiono listy, głoszące, że wojsko laurami okryte powraca. Nim ono do Budy dociągnąć mogło, już i tu i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować jak tryumfatorów.

Polacy też, którzy niemałe dali dowody dzielności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tem zwycięztwie, a większą jeszcze męstwu i rycerskiemu duchowi młodego króla.

Od króla szedł ten zapal, jego słowo i przykład zagrzewało... Węgrów zazdrość to budziło. Oni doświadczeniu, rozumowi i kierunkowi swojego wodza Huniada gotowi byli

więcej jeszcze przypisywać, i w powrocie już spory się o to wszczynają niemale, chociaż sam król młody oddawał swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie znając i kraje te i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do tryumfu, do którego zagrzewał, chociaż posiłki przez niego przywiedzione, najmniej się na tej wojnie odznaczyły...

Przez dni kilka musiało wojsko spoczywać w Białogrodzie, dopóki się oddziały rozprószone i opóźnione nie pościagały...

W Budzie przygotowano się na uroczyste, świetne przyjęcie zwycięzców... Dzień to był wielki, jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartach dziejów... Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze; wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za niem... Król z pokorą chrześcijanina, obyczajem starodawnym, szedł pieszo wprost do kościoła Panny Maryi, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje...

Duchowieństwo, mieszczenie, cechy, chorągwie, przy biciu dzwonów wystąpiły na spotkanie... Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca...

Lud witał okrzykami radośnymi, które wprędce aż na krańcach Europy odbić się miały...

Jak chorągwie krzyżackie Jagiełło na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Maryi w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych towarzyszy broni polskich i węgierskich, rozkazawszy odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich...

Umieszczono pomiędzy niemi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych Krzyżowców...

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy dla pana swojego, lecz przewidując wcześniej, że zwycięstwo to upoi, oślepi i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu przynoszono, dla mistrza Grzegorza powrót Władysława do kraju, czyniły pilnym i koniecznym.

Lecz Polska i jej sprawy małały i nikły zaćmione interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady w Sieradzu lub Korczynie, gdy głos Eugeniusza IV i Paleologa je głuszył?

Na naleganie mistrza, odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kaźmirz zastąpi brata w Wilnie...

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie wojowania pogan, wyprawa ta więcej wzmogła, niż zaspokoila, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować tryumf ten, jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powtarzała, przechodziła z ust do ust, stawała się hasłem...

— Teraz chwila nadeszła, która złamie potęgę turecką!!

Na pogan! na pogan!!

Pewność zwycięstwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczęśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano zwycięstw tyle, cóż dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!!

Cesarini listy pisał i rozsyłał nawołując...

Z ciasnej komórki swej patrzył na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i rozważał chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innych takim jaśniały urokiem, dla niego szaro i smutno wyglądały...

Częste o to walki staczał z dziekanem Lasockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał...

Zapominano, że Władysław był zarazem królem Polski...

Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać... Po takiej cichej z nim rozmowie, król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że radby choć na krótki czas zjechać do kraju, który przytomności jego wymaga...



Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt, nazajutrz jak burza Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się w końcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień, król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożądał.

Z góry układano plany... Wprost uderzyć na Adrianopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytępić. Sile krzyża, potędze męztwa bohaterskiego nic się oprzeć nie mogło... Wyobrażenia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad którymi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko zniknęło z oczów w blasku tych świetnych marzeń, które karmił Cesarini...

Wieczorem rozgrzany powracał jeszcze król do swej sypialni, gdzie mistrza Grzegorza z jego książeczką modlitw znajdował, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczynana się zawsze rozmowa o Polsce, o Litwie, o tem wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla...

Z Polski tej dochodziły głosy: Myśmy ci pierwsi dali koronę, tyś nam winien opiekę... Opuścisz nas...

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tęsknic ludu, jego prośb i przynaglania... Władysław słuchał i w duszy budziło się niezgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi. Czuł, że tam powoływał święty obowiązek.

Tu otaczała go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat, Litwa i utrapione prowincje... Książęta mazowieccy, Litwa, Szlązacy, najazdy, zatargi... czekały na króla...

Bystrzej może widział i głębiej Grzegorz z Sanoka, niż wszyscy współcześni... Litwa dążyła do oderwania się z Kaźmirzem, a w Polsce tajemne, skryte knowania przygotowywały powrót Piastów do tronu...

Sam biskup Zbyszek, który napozór Jagiellończykom sprzyjał, nie był wolen od pewnej dla krwi Piastów sympatii. Później się to objawiło dowodnie, a najdowodniej bije z kart dziejopisa (Długosza), który duchem Oleśnickiego był przejęty, i wszystkie jego przekonania podzielał, czynnościom służył.

Oddalenie Władysława, uczynienie go obcym Polsce w chwili, gdy Piastowie zyskiwali tam zwolenników, potajemnym tym dążnościami sprzyjało... Lecz były one tak skryte jeszcze, osłonięte i niewidoczne, że raczej je przeczuwać, niż dojrzeć można było...

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski, uczyniły wreszcie na Władysławie wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż radby pojechać do kraju... Cesarini uląkł się. Groziło to ostygnięciem, któż wie? może zupełną zmianą usposobień.

Huniady na wodza nie starczył.

Europa nie знаła go tak dobrze jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała... Turek przerażony mógł ściągnąć z Azji siły nowe...

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spotkał się z unikającym go Grzegorzem z Sanoka i przywitał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania człowieka.

— Wśród tej wrzawy wojennej — odezwał się do niego kardynał z uśmiechem — wy, kochany poeto, musicie się tu nader czuć obarczonym... Cześć Muz potrzebuje spokoju...

— Pożegnałem też te boginie — odparł Grzegorz — i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkim musimy zapomnieć, pomnąc tylko na tę świętą wojnę — dodał Cesarini.

I chwilkę pomilczawszy rzekł znacząco.

— Król, który dotąd zapalem nam wszystkim dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tęsknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak, i znajduję słusznem a naturalnem — odezwał się Grzegorz. — Dał już wody, że do ofiar jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, których zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przysięga...

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie krzyżowi pańskiemu — zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą — mówił spokojnie mistrz.

Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tracić cierpliwość.

— Posądzam was, kochany poeto, że wy to w królu budzicie tę tęsknotę do kraju niewczesną.

— Nie wstydzilibym się tego i przyznał, gdybym to czynił — rzekł Grzegorz — lecz młody król nie potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypominano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojcie kochany — zawołał. — Wszystko na świecie jest względne, obowiązki mają hierarchię i stopnie... Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć poświęcić.

Nie wątpię o miłości waszej dla pana, ale służycie mu źle, chcąc go uczynić małym polskim królem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrześcijaństwa...

Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami!!

Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi przewielebność wasza przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się raz dla kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją!

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni — odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera za wodza, a wy...

— A my? — przerwał Grzegorz — skłaniamy głowy! ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę...

Ułagodzony znowu przysunął się do mistrza Cesarini i poufale rękę mu kładąc na ramieniu szepnął na ucho.

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz milcząco skłonił głowę, a kardynał już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się, pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły...

Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie Krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugeniusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głowni jego stało złożonemi głoskami pod krzyżem:

*In hoc signo vinces.*

Przyjęcie legata było uroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysława tu ciągle otaczały.

Wszystkie posłuchania na wielkiej sali zamkowej w Budzie odbywały się tak, aby oczy cudzoziemców olśniewały... Rycerstwo występowało w złożonych zbrojach, w szatach od purpury i złotogłowu, w piórach, z tarczami sadzonemi, z pasami błyszczącemi od klejnotów, w łańcuchach ciężkich, w szubach sobolowych. Polskie i węgierskie stroje szły o lepszą. Duchowieństwo też nie ustępowało im w okazałości.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Francji, Anglii, Hiszpanii, Arragonu, ks. Filipa Burgundzkiego, książąt Medyolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczpospolitych weneckiej, florenckiej, genueńskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy, głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumny i zapragnąć pić z tej czary, której kto raz skosztował napoju, wiecznym się pali pragnieniem...

Oprócz pochwał i życzeń, niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków... Czcze słowa, które później okazały się zwodniczymi.

Wszystkich panów, przybywających tu, Władysław nietylko z przepychem królewskim przyjmować musiał, ale zwyczajem wieku ich obdarowywać.

Skarb to wycieńczało, lecz zapał, jaki panował na dworze, nie dozwalał ni oszczędzać się, ani rachować. Ojciec święty obiecywał posiłkować złotem, inni monarchowie dawali do zrozumienia, iż się też do obowiązku poczuli...

Wśród tego rozgorączkowania, kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski, odpowiedziano zwłoką, a wielki zjazd zwołano na św. Jerzy do Budy.

Miał on na celu wyprawę nową...

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej i miasta, które trzymały stronę pogrobowca...

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Wł. Garę... Bo, gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgierscy panowie, aby jego i współników buntu, a niepokoju sprawców pochwyć, mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tem, potajemnie Giskrze ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszącom ocalając życie.

Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przენiewierstwa...

Zjazd pobór ogólny na wojnę uchwalił, bo skarb był wyczerpany do dna...

## IX

W mieszkaniu swem na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata dosyć ciemna we dnie, cała już była mrokiem posępnyim okryta... ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało duszy... Kardynał jak zwierciadło odbijał, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadkową przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną.

Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasróżoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie. Poruszał się machinalnie, bez myśli, jakby nim krew rzuciła, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał, to łamał, to tarł niemi twarz i rozrzucił już przeredzone włosy.

Na drzwi spoglądał niekiedy niecierpliwie, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprowadzała rozdrażnienie większe jeszcze. Walczył z sobą...

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonymi krokami, z również zafrasowanym obliczem...

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie.

Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią zabierał się do boju... Ale Włocha bój miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować...

Różnica ta natychmiast na jaw wyjść miała. Na widok dziekana Cesarini obliczu kazał milczeć, a Lasocki mimo woli poddał się przykreemu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho do kardynała. — Niestety! Nie ulega to wątpliwości... Jerzy despota Rascij i Jan Huniady, bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami. Owoc tylu usiłowań stracony... zawarli pokój... to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są... korzystne... Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Nieszczęście! — zawołał wyrażając się popularnie po włosku (*accidente!*), co razem jest rodzajem przekleństwa.

Chwilkę milczał.

— Iść przebojem — dodał po cichu — na nic się nie zdało... Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna... Gra musi być inną...

Lasocki patrzył i zdawał się czekać na wytłumaczenie, niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wysadzeni z siodła — dodał Cesarini — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda...

Spojrzał bystro na Lasockiego, uśmiechnął się i dodał, jak zwykle gdy bardzo coś uczuł mocno, po włosku:

— *Chi va piano, va sano... e lontano, lontano.* Musimy zgodzić się na pokój, pochwalać go nawet...

Przerwał i dołożył szepcząc, obiema rękami robiąc ruch jakby rozdzierał coś w nich...

— Pójdzie ten pokój w kawałki!!

— Lepiejby go niedopuszczyć — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna!! — przerwał niecierpliwie kardynał. — Kopano dołki pod nami, wpadliśmy w nie... wprowadzimy z kolei kopaczy...

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę; nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego...

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetną, będzie zwyciężką... daję na to głowę moją. Pamiętajcie! Jesteśmy za pokojem...

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mucet i poprawiając czapkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał — ja się ich domyślam. Despotcie oddaje zapewne Turek zabrane zamki i miasta... a Huniady?

— Huniademu oddaje Jerzy to, co z nadania Alberta i Władysława na Węgrzech posiadał...

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie! — rozśmiał się kardynał. — Nie dziwię się despotcie, nie pojmuję wojewody!! Huniady! ten nasz wódz i bohater!!

— To też pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On Huniada namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić.

— Huniady! — powtórzył kardynał.

— Despota wybrał do zawarcia pokoju z Amuratem chwilę sposobną — mówił Lasocki.

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierdżisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu... Despota korzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolię — dołożył Lasocki. — Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeźdźcę zmiękczyło...

— I Huniady! Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwili dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedynu...

Spojrzał na dziekana, który lekkim głowy skinieniem zgadzał się na wszystko.

Wieczór nadchodził szybko, w komnacie robiło się coraz ciemniej... sługa wniósł światło i razem z nim wtoczył się raczej niż wszedł ogromnego wzrostu opasy mężczyzna, którego twarz wschodniego wybitnego typu, z czarnymi wielkimi oczyma, więcej chytry niż rozum oznaczała. Łatwo było odgadnąć, że on miał się za bardzo przebiegłego i mądrego, lecz czy nim w istocie mógł się zwać, wątpić się godziło.

Obejście się wielce pokorne a zarazem niby dobroduszne, zdradzało ochotę uchodzenia za prostaczka.

Był to Grek, którego pod imieniem Arkadiusza znano, posługujący różnym, a teraz despotowi Rascij.

Kardynał, znawca wielki ludzi, oddawna go już ocenił i stosownie się obchodził z nim. Oblicze Cesariniego w przewidywaniu, że na niem przybyły szpiegować będzie myśli, przybrało wyraz obojętnego spokoju.

Arkadiusz po niskim pokłonie, obejrzawszy się na Lasockiego, westchnął i ręce zacierając począł:

— Przychodzą przewielebność waszą zapytać, bom nieświadom niczego a niespokojny. Wieść się rozchodzi, bałamutna może, o pokoju?? Nie zanosilo się na to??

Kardynałowi nie drgnął żaden mięsień twarzy.

— O pokoju? — powtórzył. — Nic nie wiem. Zkądże ta wiadomość?

— Pogłoska — rzekł Arkadiusz — miał ją jakoby przywieźć goniec od wojewody Siedmiogrodu i despoty...

— A cóż mówią o nim? — pytał zimno ale z zajęciem pewnym Cesarini.

— Powiadają, że korzystając z usposobienia sultana, który siedemdziesiąt tysięcy dukatów za Czelebiego zapłacić musiał i dużo ludzi utracił... Huniady i despota skłonili go do przystania na bardzo dobre warunki.

— Cóż to zowiesz dobrymi warunkami?? — uśmiechając się spytał kardynał.

Arkadiusz pilno mu w oczy patrzył i ramionami poruszając, rzekł:

— Mówią o dobrych warunkach, ale ja, ja ich nie wiem!! Lecz... czy by król, pan nasz miłościwy, w którym taki zapal do boju goreje, przystał na to?!

Cesarini ramionami poruszył, udając obojętność. Obrócił wszystko w żart.

— Któż wie? gdyby sułtan Amurat opuścił Adrianopol i z całą swą tłuszczą powrócił do Azji!!

Arkadiusz przymuszonym śmiechem odpowiedział, ale oczy jego nie schodziły z kardynała.

— A przewielebność wasza — rzekł — cobyście trzymali o pokoju?

— Ja, mój Arkadiuszu — odparł kardynał — z powołania, jako duchowny, jestem człowiekiem pokoju. Wszystko zależy od tego, czym go okupić potrzeba...

— Pogłoska ta jeszcze do was nie doszła? — zapytał Grek.

— Dotąd nic nie wiem — odezwał się Cesarini.

— Zdaje się jednak, że listy jakieś przysły od Huniady do tutejszych panów — zniżając głos dodał poufnie gość, który nieśmiejąc się stał w uniżonej postawie. — Węgrzy sobie dosyć życzą pokoju... Wojna wszystkich znużyła, skarb wyczerpała... Króla do Polski wyzywają, podobno jechać tam będzie musiał, bo się w jego Polsce zawichrzyło... Skarb też wyczerpany, bo młody pan szafuje nim po królewsku, a nim miasta złożą pobór uchwalony...

Zatrzymał się Arkadiusz, chcąc wydobyć jakąś odpowiedź od kardynała; ale Cesarini siedział z oczyma spuszczone, rękę białą po stole przebierając i zdawał się tak obojętnym, jakby sprawa ta go najmniej nie obchodziła.

Grek, który postanowił go wybadać, nie poprzestał na pierwszej próbie.

— Waszej przewielebności przypisują, że życzyliście nowej wyprawy i pogromu Turków; cóż tedy, gdyby do pokoju przyszło?? Zmiejszałyby się wszystkie szyki i poszły w niewiecz przygotowania! Szkoda!

Kardynał tak zagadnięty, nie spojrział nawet na Greka, ale patrząc na ścianę, odparł.

— Ci, co mi przypisują pragnienie wojny, nie myślą się... dziecko moje. Pogan pragnąłbym w istocie widzieć wyżenionemi z Europy... ale pokój zawarty nawet, nie jest nigdy wiecznym. Cóż tu dopiero rozprawiać o niedokonanym? Ja nic nie wiem...

Odparty tak Arkadiusz westchnął i zwrócił się do Lasockiego, który zdala stał milczący.

— Wy, ojczy — rzekł — co wszystko wiecie, powinniście już byli słyszeć coś o tem?

— Byłem zajęty ekspedycją papierów do Polski — odrzekł Lasocki — nie widziałem nikogo.

— Gońcy przybyli, bom ich sam widział — dodał Arkadiusz...

— Więc niezwłocznie się to wyjaśni — zakończył dziekan...

Grekowi zawiedzionemu nie pozostawało już nic nad zmianę rozmowy. Zwrócił ją na przedmiot obojętny i ciągle oczyma śledząc kardynała i dziekana, nic niewydobywszy z nich, odejść musiał...

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytnej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Wiadomość o przybyłych pismach już się po całym dworze rozeszła, a Cesarini nie dał znaku życia. Lasocki słuchał, nie mówiąc nic.

Jeden z pierwszych o pokoju zamierzonym i na wpuł już dokonanym przez potężnego Huniada, dowiedział się Grzegorz z Sanoka.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na której tak niezmiernie pokładano nadzieje... radby był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądy Władysława, a drżał z niepokoju...

Dnia tego wcześniej niż zwykle poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo że godzina spoczynku zwykłego nadeszła. Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratusiem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zasepiony. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy Grzegorza, wprost zmierzył ku niemu. Błady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś! Huniady pokój z Turkiem umówił!!

Załamał ręce...

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie namiętności się już taka zęćność zęładzenia potęgi pogan!! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona... I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym rozbójnikiem okrutnym!! do traktatów z pogany!! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi, począł zwolna.

— Ja w tem nie widzę nic tak dla nas nieszczęśliwego a, uchwaj Boże, sromotnego. Prędejbym się radował z takiego końca, jeżeli warunki pokoju korzystne...

— Pokój każdy teraz zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałebym zawieść oczekiwania i okazać się małoduszny?

Grzegorz zmilczał nieco...

— Królu mój — odezwał się umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczó bierzecie to wszystko... Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwałnemi i pochlebstwy, i za twą krew daje piękne słowa... Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam garść włóczęgów, których w obozie wstydzic się i kryć z nimi było potrzeba. Polacy i Węgrowie walczyli sami... Krzyżowców niemieckich i włoskich niema co wspominać... Na przyszłą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się — przerwał król.

— Bogdajbym się mylił — rzekł Grzegorz. — Pokój kilkoletni dałby czas urządźć sprawy polskie, przygotować się powoli a silnie do ostatecznej rozprawy... Huniady jest mąż odważny, baczny, świadomy potęgi, z którą walczyć mamy... Kardynał pewnie zagrzewać będzie do wojny, ja w sumieniu mem pokój doradzam i modłę się do was, jeżeli słuszny a godny... nie odpychajcie go...

Złożył ręce, w których trzymał książkę modlitw i stał tak przed królem, patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszonym, lecz wprędce wróciło mu usposobienie, z którym przyszedł; tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożydał.

— A — zawołał — ty dobrze wiesz, czem mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiązek. Widziałeś sam, byłeś świadkiem, że go spełnić żadałem, że chciałem jechać, że postanowił...

— A kardynał to jednym słowem w niwecz obrócił! — wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał! wszyscy, wszyscy mnie błagali, abym pozostał — odparł Władysław. — Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą. Jeżeli pokój możliwy, królu...

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorzu mój, ojciec kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież, ojciec nasz, Paleolog, królowie, książęta... żadają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnem; spuścił głowę, rozłożył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano, panowie węgierscy, którzy listy od wojewody i despoty odebrali, po naradzie weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tem, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, któryby się nie cieszył nadzieją pokoju... pokoju żadanego przez samych Turków!!

Już to samo, że oni go pragnęli i wyzywali do niego, pochlebiali dumie... a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że, oprócz w La-sockim, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę... stawił się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podżęgał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i niedopuszczać, aby posiłki z Azji dla Turków przybyły;

nie udawał więc, że zmienił zdanie (temu by nikt nie uwierzył)... przybrał postać złamane-  
go, zwycięzonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król widząc, że nawet kardynał  
jawnie oporu stawić nie myśli, zachwiał się...

Węgierscy panowie przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdanie  
swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękanym wojną, a sławy  
miał do syta...

Na to poselstwo, przemawiające natarczywie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak  
milczeniem przyzwalającym...

Kanclerz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław niezwłocznie udał się do Szeged-  
dynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiechu, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było po-  
dobna. Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami,  
zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim  
jakimś uśmiezkiem skrzywione, stało jak groźba niema ponad roznamiętnionymi.

Dawszy szeroko się wytłumaczyć Węgrom, do których panowie polscy się nie mię-  
szali, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomnijcie, że Turek z chytrłości i przენiewierstwa słyńie. Być może, iż nas uwodzi  
pokojowemi nadziejami dlatego, aby nasze przygotowania wojenne wstrzymał. Gdybyśmy  
nawet do Szegedynu jechać mieli, to nie inaczej jak wyprawiwszy część wojska, którą  
gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem...

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostszą ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzódki jechać, aż  
wojsko wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stanąć, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgierscy, widząc, że król stawiał to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili  
się...

Król nawzajem podróży do Szegedynu się nie opierał...

Łatwiej na pozór daleko, niż się spodziewali panowie, zdobywszy to czego życzyli  
sobie, widząc kardynała milczącym, niepróbującym nawet oporu i sprzeciwiania się... nie  
mogli zrozumieć, jak się to stało.

Cesarini dotąd, nigdy takiego nie ukazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów,  
spotkawszy go w podwórku, a wiedząc, że mistrz nie bardzo z Włochem był przyjaźnie,  
począł śmiejąc się chwalić odniesionem zwycięstwem.

— Wiesz, ojczu, cud się stał! — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał  
zaniemiał... Tryumf odnieśliśmy niespodziany...

— Sądźcie? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszcicie się zawczasu a nie dowie-  
rzajcie. Człowiek ten, gdy milczy, niebezpieczniejszym jest niż w rozprawie. Dopóki on  
tu mieszka, wierzajcie mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeśli nie rozumem to  
przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój niezawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem... gdyby  
zawartym był, ja i temu nie zaufam...

Zmarszczył się magnat, ale ręką uderzywszy po szabli i zakławszy w swoim języku,  
rzekł:

— Jeden przeciwko wszystkim? nic nie dokaże!

Rozeszli się tak...

Król złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, spotkania  
się sam na sam z Cesarinim obawiał i wymówek a użalań, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów, weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był  
zmięszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini, w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną  
rezygnację...

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że  
oczyścić się potrafię... Niestety! za nierozważnie, za pospiesznie zaręczyłem, że wyjdziemy  
w pole! Zawiadomiłem o tem papieża, księcia Burgundyi, Wenetów i Genuńczyków,  
którzy z flotami w pomoc nam spieszą. Okrutny! sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu  
go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król ujęty bólem tym, starał się go pocieszać.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nic może się nie dokona. Znacie moje uczucia, wiecie żem gotów... lecz...

Kardynał przerwał, dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości... tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba, nie przekonamy ich... Milczmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę ofiarą, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się prawdziwym wydawał męczennikiem.

Król poruszony mocno uściskał go...

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki. Panowie, obawiając się aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań. Wojskom dano rozkazy wyciągania pospiesznego nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesariniego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem...

W Szegedynie czekali Węgrowie bardzo licznie zebrani, wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gońców wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie lecz zręcznie.

Publicznie wcale nie występował przeciwko traktatom. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świecie surowo mógł być sądony. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wiele znaczącem milczeniem.

Na osobności, z młodzieżą polską i węgierską, odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzierano chwałę, którą się okryć miało... Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zręcznością było zawsze zastosowywane, odchodził od niego gorętsi z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która dała się pieniędzmi i mamiąciami korzyściami uwieść do sromotnego kroku...

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nic nie działał... był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sanoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprawiało...

Mistrz Grzegorz nie krył się z tem wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkimi siłami. Lasocki równie był zamknięty i milczący jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie wywnętrzał jak przed nim, najlepiej wiedział co się w tej młodej, zburzonej duszy działo.

Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach...

Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień...

— W pół drogi do celu... zaparto mi ją!! Los złamali... przyszłość tak świetna zgubiona na wieki...

— Królu mój! — wołał Grzegorz — nie masz lat dwudziestu... przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wślawić się... Ten pokój, to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony... nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę; ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płocze, nieprzyjaciela za lekko ceni...

Król bolał niewymownie...

Kilka dni oczekiwano na posłów tureckich. Wiadomem już było, że na czele poselstwa ma się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadiusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach...

Głoszono go, jako przebiegłego wielce i chytrego człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.



Greki, przeciw któremu przodem wysiano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając Arkadiusza za tłumacza, nadciągnął w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych. Kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku, dodał mu sultan...

Z Szegedyńcu wysypało się co żyło dla zobaczenia tego wjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, któremi się żywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materij, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokosa i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które wdziawszy poselstwo sprawić mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co najprzedniejszymi ze dworu swojego panami... z całym majestatem monarszym... Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie, urzędnicy węgierscy...

Greki po turecku przyodziany, w szubie na wierzch, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława... Zagał tem, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów...

Rodokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego... Na przemiany uniżony do zbytku, jakby potem przypomniał sobie od kogo i z czym przychodził, rwał się zuchwale...

Po tem posłuchaniu wielkiem, rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi o pokój umowy. Turek tak skłonny był do zgody, że prawie bez sporu oddawał zamki zagarnięte w Rascii wszystkie, część Albanii dla despoty... Bułgarów tylko zatrzymać chciał dla siebie.

Przytomny Jerzy despota Rascii, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka, rzucał się na kolana, błagał, zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdzy i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowały a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgierscy obstawali równie gorąco za pokojem...

Kardynał zdala patrzył, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży...

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował warunki te, niemogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana, wszyscy zdawali się zgodnie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty...

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów, będących w rękach Amurata, przyczyniały się też wielce do przyspieszenia układów.

Greki zdawał się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał...

Trzeciego dnia dał znać Lasocki Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawartym. Kardynał pobladł, ale nie rzekł ani słowa... Wyszedł jak zwykle do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężonym, przez Turków na alkoranie, przez króla...

Rodokos, w chwili gdy o tem była mowa, obstając mocno aby przysięga jak najuroczystsza była i jak najsilniej obowiązującą, wniósł, ażeby król ją na poświęconej Hostyi u ołtarza złożył, na tem co dla chrześcianina najświętszem było...

Nie bez przyczyny Greki się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżegać i do złamania namawiać.

Arkadiusz myślał tę mu poddał...

Na pierwszą wzmiankę o tem, Grzegorz z Sanoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką.

— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął. — Przysięga na hostyę niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłaby profanacją! Na to dozwolić nie można.

Greki obstał przy swoim.

Oburzony wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętymi ustami i piorunującymi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka w ostatnich dniach przychodziło codziennie do sprzeczek i sporów, często w rzeczach małej wagi, jak gdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje mistrza, kardynał zmierzwił go wejrzeniem złośliwym...

— Miłościwy panie — odezwał się Grzegorz z zapalem. — Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej... Chce przysięgi na Hostyę! Byłoby to profanacją! Tego dopuścić się niegodzi!!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nieodpowiadając spojrział na kardynała, jakby go wyzywał.

Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie — odezwał się — dlaczegożby i na Hostyę nie miał przysięgać? Zwyczaju tego niema, ale zakazu niema!! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jakto? — wykrzyknął Grzegorz, cofając się zdumiony. — I to wasza przewielebność mówicie? Wy? księżę kościoła? Dopuścilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem.

— Przysięgamy na Krzyż i Ewangelię — odparł kardynał — dlaczegożby nie na Hostyę?<sup>22</sup>

— Nigdy w świecie nie dopuścimy tego! — zawołał Grzegorz.

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tem ani profanacji, ani nic nadzwyczajnego... a ta przysięga!!!

Lekceważąco ręką potrząsnął.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysięg nie jesteśmy obowiązani dotrzymać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałyby być chrześcijańską nauką? — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela, który nieprzyjaciół miłować kazał, a za złe dobrem odplacać?? Który w Ewangeli swej nikogo z pod prawa miłości nie wyjął?

Cesarini spojrział z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

— Miłościwy królu — rzekł z powagą i namaszczaniem — chociaż przytomny tu legat Ojca świętego zdaje się być za tą niesłychaną formą przysięgi, której Turek a raczej chytry Grek, jego poseł, wymaga... ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunkowo tego nie przyjmuję. Byłem i jestem za pokojem — dodał — ale taką okupioną ceną!! nigdy...

Kardynał pilno patrzył na króla.

Być mogło, że popierając przysięgę na Hostyę, chciał jej zapobiedz i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był blizkim zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza. Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko wedle obyczaju — rzekł stanowczo. — Nie bój się, mistrzu mój... świętokradztwem się nie skażę.

Uśmiezek przebiegł po ustach Cesariniego, milcząco spojrział na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że, jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

<sup>22</sup>Przysięgamy na Krzyż i Ewangelię [...] dlaczegożby nie na Hostyę? — O tym sporze z Cesarinim, Kallimach w życiu Grzegorza z Sanoka. (przyp. aut.) [przypis autorski]

Grzegorz zwyczajko spojrzal na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego... i oddalił się.

Na pokojach króla czekano potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę zniecierpliwiony niepewnością tą Cesarini, wyprawił Lasockiego na zwiady.

Dziekan powrócił przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na Hostyę, ale widocznym było, że ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się Krzyżem, Ewangelią a ołtarzem...

Kardynał posłyszawszy to pochmurniał, ostatnia nadzieja zerwania układów znikła...

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciągu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

## X

Milczenie, cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrzył na zawarcie pokoju w Szegedynie, podleganie dziwne gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej... dla tych, co jak Grzegorz z Sanoka znali Cesariniego, niepojętem się wydawało.

On, co był wyprawy przeciwko Turkom duszą i sprężyną, co czuł tu tylko nad tem, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą i ostateczną... w chwili zawarcia dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jakby w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił jednak wcale o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zrzeczności sam na sam z królem i z tymi, których znał usposobienia rycerskie, kardynał starał się obudzić w nich żal, iż pokój ten laury, sławę, zasługi im odbierał, niweczył wszystkie ich nadzieje...

Krół też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini poczył te żale rozwodzić...

— Zaprawdę — mówił do króla — nigdy Turek nie dał dowodu większego przewrotności a rozumu, jak teraz. Czui i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podola... Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakichby nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwoliła! Przeszła wojna, w której wy, miłoścywianie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego się ma spodziewać po drugiej wyprawie!! Nieszczęsny ten pokój drogo opłacacie... Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę... wszakci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodzić! Znoszę to z pokorą... Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Krół wzdychał...

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie.

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takim przejęciem, że lzy niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojciec mój — wyrwało się z ust Władysławowi — nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem, jest świętą przysięgą!

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciółom Chrystusa! podchwyciona, przynaglona przez Huniadego i despotę? Co warta taka przysięga! Nic!! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło...

Krół pobleł i drżeć zaczął.

— Ojciec mój — odparł wychowany w poszanowaniu nie tylko przysięgi ale danego słowa, młody Jagiellończyk — wybyście mnie może rozgrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!!

Na ten raz, nie popierając swojego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtórzył Grzegorzowi z Sanoka, który słysząc to zadrzał i ręce załamał.

— Królu mój — rzekł — przysięga każda jest świętą... poganom czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół krzyża

Chrystusowego, ale się myli. Zapal mu nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga, nie dajcie się zwieść z prawej drogi!

Tymczasem zaledwie król do Budy powrócił, ów tak na pozór uspokojony kardynał, który w początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa, dowódcy papieżkiej floty, z doniesieniem, iż okręta jego oraz połączone z niemi statki Wenetów i Genuńczyków stały w pogotowiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzec przepławę do Natolii i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzód nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, nagłono króla, aby wedle danego słowa, ze swej strony pospieszał do Romanii i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami temi szydersko uśmiechnięty, ironiczny, i rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem niż wprzód.

— Ani Ojciec święty, ani rzeczpospolite, ani książę Burgundyi nie wiedzą — zawołał — że my tu pokój zawarliśmy... Floty są gotowe, Europa na was rachuje... Co za srom! jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście.

Król słuchał przerażony...

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje... ona go znać nie chce. Ojciec ś. poczynił takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu... z założonemi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcie — rzekł król.

— Widziałem nie konieczność, ale upór despoty i Huniada — odparł żywo Cesarini — a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przyrzekliście, ale i złamaliście słowo wasze...

Król rzucił się z załamanemi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić? — wykrzyknął.

— Zaprawdę! zaprawdę! — wołał rozogniając się kardynał. — Papieżowi i panom chrześcijańskim daliście przyrzeczenie, słowo rycerskie... a teraz... wystawujecie ich na sztych...

— Ojcie mój! litości! — odezwał się król błagająco. — Widzieliście postępowanie moje, byłem zmuszony...

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga? — przerwał tryumfująco kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z pierśią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był znowu, jak wprzód, rozgorączkowanym. Nie ograniczył się na tem nawracaniu króla, poniósł pismo kardynała do kanclerza, do panów polskich, wszędzie toż samo powtarzając i usiłując zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miała żadnej wagi.

Przyznać należy ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i przekonywająco. Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród cały spada hańba za to przestępstwo...

— Króla nie obwinia — mówił — młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać uwieść i przekonać... Hańba czeka Węgrów za zdradę Chrystusa... na was świat cały zrzuci winę i słusznie! Wy w obliczu historii będziecie dźwigać hańbę tego zawodu... Ojciec ś. wam tego nie przebaczy...

Pismo to pierwsze już poruszyło umysły... wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi. Kardynał coraz głośniejsze dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla znaczenia.

Mówił głośno, wszystkim, a coraz natarczywiej powtarzając, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Słowo to, zaledwie wyrzeczone, doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie... Począł równie głośno wołać, że nikt ani nawet Ojciec św. od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może...

— Sam Pan Bóg — krzyknął w zapale — tego, co było spełnionem, nie może znicestwić. Co się stało, źle czy dobrze, stało się, i człowiek dźwiga następstwa... Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi!! Skalać tem tego czystego, bohaterskiego pana naszego! Nigdy!!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Paleologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł ich wojować teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny...

Kardynał tryumfował, lice jego promieniało. Krzątał się goręcej, niż kiedy, nie pozynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich...

Dowodził on im, pojedynczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze, przysięgę tę czyniły nieważną...

Powaga Cesarzynie, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to z wolna zaczynało działać na słabsze umysły i zachwiało niemi.

Rycerstwo chciwe sławy, zagrzane tem, że papież, rzeczpospolite włoskie, książę Burgundy, krzyżowcy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęło głośno utyskiwać. Grzegorz z Sanoka sam niemal jeden pozostał ze swem niezłomnem przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież, z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów...

Młodość ich czyniła łatwemi do przekonania... Cesarini w kilku dniach wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować do wojny... mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką wzdargą, ponawiając to, że brał złamanie jej na swe sumienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż w końcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom, wydawała się tak niezawodnem zwycięstwem, że żal po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał do zwalczenia kardynałowi mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy, człek prawy, nieskalany niczem, rycerskiego ducha, Huniady... Pokój zawarty z Turkami zapewniał mu Bulgaryę. On sam z despotą przyczynił się do jego zawarcia, a bez Huniada, wojna była niemożliwą. Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz w małej odosobnionej mieścinie, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki listem powołany, w którym nie było mowy o celu narad, przybyć obiecał. Kardynał nie wydając się z tem, dokąd jechał i po co, znikł z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę, i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Powrócił z tej wycieczki kardynał wesół, z rozjaśnionem czołem, i nazajutrz stawiając się przed królem, począł powitanie od tych słów.

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym nie wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów.

Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki... Upłynęło już dużo więcej czasu... słowo złamali i my też od dotrzymywania go jesteśmy wolni.

— Trzy zamki oddali Turcy — odparł król — zawiadamiając, że resztę niezwłocznie uwolnią... i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem dlaczego miłość wasza mieli im okazywać powolność, którejby oni zaprawdę w. miłości nie uczynili.

Nie dotrzymali traktatów... są więc zerwane.

Król spojrział niespokojnie dokoła, badając, jakie to na innych przytomnych uczyni wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej, przy tych naleganiach, ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania, starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze...

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ściśle biorąc, traktatu nie dotrzymali.

Kardynał nie nalegał. Chciał on wszystko tak przygotować, aby na ostatku mieć tylko do przełamania skrupuły króla. Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał Lasockiemu przygotować i spisać akt stwierdzony najuroczystszą przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązywali się ci, co do niego przystę-

powali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z pogany i w walce tej trwać do końca...

Król jeszcze o niczym nie wiedział, gdy już na wspomnianym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa Szymona Rozgon'a, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników najwyższych i dostojników węgierskich...

Kardynał po jednym naprzód ich pozyskiwał sobie, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął...

Czas upływał, należało naostatek uderzyć na samego króla... Cesarini się przygotował do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ spowiednika skromnego musiał ustąpić przed powagą ojca kościoła. Młodzież będąca przy Władysławie, zwolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku.

Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska, rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni mnodzy, już ze względu na Polskę, do której króla odciągnąć chcieli, już z poszanowania przysięgi, której świętość im Grzegorz z Sanoka codzien wpał, stali na uboczu, i przy każdej zręczności, starali się Władysława zapal wojenny hamować.

Ale jak z jednej strony to trudnym było, bo król bołał okrutnie, że zawód uczynił papieżowi i książętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej niemniej złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyste przed ołtarzem złożonego...

W młodem sercu jego i umyśle wrzała walka straszna, która się na licu, w mowie, w życiu całę odbijała. Nic mu nie smakowało, chodził niespokojny, modlił się prawie ze łzami... szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał codzien — Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymywać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład...

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nic jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał mając już za sobą biskupów, Huniada i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym pocztem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekana Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzód, przysposabiał Władysława... Sam on czuł, że się coś gotowało. Panowie i duchowieństwo nie zdradzając się, milczało znacząco, gdy mowa była o pokoju...

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru Franciszkanów rano udał, przeszkodzić nie mógł rozmowie. Z kardynałem przybywali Szymon Kozgon kanclerz państwa, Piotr biskup czanadzki i Wawrzyniec palatyn... nie licząc dziekana...

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą sprawę ważną, która się tu rozstrzygać miała.

Odgadnąć było łączno, po udziale kardynała, o co chodziło... Król wychodząc zadrżał i pobladł. Przeczował, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej...

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy kościoła, kardynał rozpoczął mowę. Dowodził w niej, że nie król i nie korona węgierska łamała traktat, lecz sami Turcy już go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą Ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat patrzy cały i czeka na nią.

Naostatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinął akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniada...

Pozostawał jeden król, jeden Władysław, i losy chrześcijaństwa od niego zawisły... W jego rękę była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć...

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrzył na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała, i wargi mu drżały, a głos nie mógł dobyć się z piersi.

Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pergamin...

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał, rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i w końcu rzekł głosem drżącym.

— Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie, ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotówem...

— A któż nam takiego jak wy bohatera zastąpi? — odezwał się kardynał. — Nie, bez ciebie na czele nie ma wyprawy...

— Huniady! — przebaknął król

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski i Węgier! — począł gorąco Cesarini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu... Wtem Cesarini o pomoc obejrzał się do Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykladał...

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku ani przeciwieństwa, ni zgody. Kardynał, który badał młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zbolałą, czekał ażali na niej promyk nie zabłyśnie... Widział tylko coraz potęgujący się niepokój.

Po biskupach, którzy wszyscy wtórowali Cesariniemu, odezwał się Lasocki z żywością i poufałością starego sługi, domownika, doradcy...

Ze wszystkich może, mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie.

Otworzyły się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumentami Grzegorza z Sanoka... Lasocki odpiął je zasłaniając się legatem papieża, powagą Ojca św...

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, ogłędając czy mu kto na pomoc nie przyjdzie. Ale wszyscy byli przeciwko niemu...

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na rękę, i nie odpowiadając już nic, pozostał nieruchomym.

Ktośby był może ulitował się nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności, musiał korzystać.

Nastał więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał...

Władysław spojrział błagająco, i nie odpowiedział nic.

Milczenie Cesarini wytłumaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (d. 4 sierpnia 1444), i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Zwyciężył Cesarini.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka wróciwszy z klasztoru, wszedł na podwórce, uderzyła go zmieniona ich fizygnomia. Młodzież z okrzykami i weselem, dawno tu niewidzianem, biegła jakby już się przysposabiając do jakiejś wyprawy...

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu! — zawołał — dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona.

— Śni ci się? — odparł mistrz.

Wtem podpadł Gratus.

— Nie wiecie więc, król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu ogłaszającego wojnę... Idziemy na pogan!

Nie wierząc uszom swym mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce, powróciwszy do sypialni, jakby chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi, padł przy kłęczniku przed krucyfiksem na modlitwę... złożone ręce trzymał ponad głową...

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka... i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeżeli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc słowa, nie uczynił wymówki, ukląkł za nim na modlitwę, ale z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy zalały łzami...

## XI

Dnia dziewiątego Listopada, w wigilią św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące Władysławowi królowi w wyprawie przeciwko Turkom, stały już na równinie pod Warną...

Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwyciężkim, równie jak zuchwałym; jednakże wpatrzywszy się w zgromadzonych około namiotu młodych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu, oddzieliwszy się od tłumu, osobną gromadką stali, gwarząc

po cichu, na twarzach ich trudno było dojrzyć zapału tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadchodził powoli, chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, rozdąsany, przelatywał nagle po równinie na w pół wyschłej, w pół błotnistej i biegł gdzieś skryć się w gór wąwozach.

Następowała potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mrużeniem jednostajnym, przychodzącym od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych, czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie. Horyzont dalej jeszcze opasywały sine góry, na których tle gorzały łuny rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko... Wszystkich oczu ku tym światłom czerwonym zwracały się niespokojne...

Blżej, jak zajrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rot, wśród taborów, które je zasłaniały w części... Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to rozpraszając ku góróm.

Z tyłu poza obozem królewskim i w prawo błyszczwały, odbijając płowe niebios jasności, limany i błota nadmorskie. Gdzieniedzie z poza niskich namiotów, gromadami podnosiły się głowy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano... Gwar żołnierstwa słychać było to głośniejszy, to cichszy, rżeniem koni zagłuszany.

W głosie zwierząt w tej chwili, było coś jak rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwoga. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze, żegnali się nieznacznie.

Przy namiocie stojąca gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nie rażna. Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili zwolna, zadumani, cicho, jakby nie chcieli, by ich podsłuchano. Nieopodal przy namiocie królewskim, wielka nadworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce...

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić bohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce, Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok rannego w jednej z dawniejszych potyczek Jana z Rzeszowa, stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny na podziw z rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze, i drugim ducha a buty dodawał.

Wszyscy wydawali się znużeni...

W jednej z tych chwil, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem; na szarych niebiosach ukazało się czarne jakiegoś ptactwa stado, i powoli ciągnąć zaczęło nad obozem... Grzegorz z Sanoka podniósł głowę, i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie kruków stado...

Dostrzegł je i ranny na wozie leżący Jan z Rzeszowa.

— Ho! ho! — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześniej na jutrzejsze pospiesza pobojowisko. Zła wróżba.

— Nie wiadomo dla kogo — przerwał zdala wesoło Zawisza.

Zamiłki.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale ktoby w to wierzył!!

— To pewna — przerwał Wątróbka — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo.

Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku...

— Im prędzej, tem lepiej — dodał Jędrzej z Sienna. — Co ma być, niech się dokona. Wojsko niezgorzej położone u twierdzy i moczarów, a równina do boju dogodna... Byleby Bóg pobłogosławił...

Znowu jakiś czas milczano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych wszystkich, w piękne słówka zamożnych panów chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie dotrzykali nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby — przerwał gwałtownie Grzegorz z Sanoka — na tem, gdyby wszystko się rozpięra. Gdyby owa flota Genuczyków i Wenetów, co to na straży stać miała, aby Turków nie przyszczać, sama ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła...



— Nie może to być! — zaprzeczył Zawisza.

— Jak, nie może! — odparł Grzegorz — wszakże szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą zeznali...

— Od Orszowej nam dobrze szło — dodał z wozu, podnosząc się i na łokciu opierając Jan z Rzeszowa. — Mieliśmy iść wprost na Adrianopol i tam z flotą i posiłkami się połączyć, a no za mało nas było, aby się tak ważyć. A dlaczego za mało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini! — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucac winę — sprzeciwił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wysłali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie jak kapłan, ale jak żołnierz i losy nasze dzieli...

— A nie obrachował na jakie nas naraził — niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie! — rzekł Zawisza.

— Ani się z tem taję, że mu za złe mam, iż króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu przebaczyć nie mogę — rzekł Grzegorz...

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdobywać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka — a i to złe, bo w nich załogi tureckie się gnieźdzą i poza nami zostają.

— A czymże je brać było? — odezwał się Wątróbka. — Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów niemi nie złamać!

— Działami się na prędki pochód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła za mała, a posiłki niepewne, od Nikopolis zawrócić.

Byłem przy królu, gdy Drakula przyjechał. Popatrzał się tylko na nasz obóz, a potem na młodego pana i do nóg mu przypadał prosząc, aby powracał, a nie ważył się dalej. Zna on Turków siły dobrze.

— Z czem wy ciągniecie? — mówił. — Sułtan jadąc na łowy więcej z sobą ludzi bierze...

Łzy miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi dać chciał, ludzi, konie, aby na wszelki wypadek ratować się mógł.

Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali!! Daj Boże, byśmy nie żalowali tego...

Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba... bo rycerstwo wygodę i przepych lubi!

— Mistrzu — gwałtownie zakrzyczał Zawisza — już i na nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Niesiemy życie ochotnie...

— To też mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy Wątróbka wtrącił.

— Przecież już niedarmośmy szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No i Warna się poddała — wtrącił Piotr z Latoszyna, ale to wszystko na nic, jeśli ich jutro nie pokonamy.

— Król jest najlepszym nadziei — począł Zawisza. — Biada tylko, że mu od siodła wrzód na nodze nabrał, bo na koń ciężko wsiąść będzie, przy Bożej pomocy jednak, zważać na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noc nadchodziła. Wśród ciemności ognie tylko oddalone i bliższe rozsypane na czarnej przestrzeni widać było. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał. Kupka z pod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła.

Pozostał tylko jak przykuty tęsknicą Grzegorz z Sanoka przy rannym.

— Niewypowiedziany ból w sercu czuję — rzekł cicho — gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziczy, za dobroć swą i wielkie serce. Nie mogę się złym przecuciom obronić!

— Ale! Zasię! — żywo odparł ranny — ja tak znowu wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewiele może na te tłumy niesworne pogańskiej halastry, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byleśmy ich w pierwszym starciu złamali.

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka — rzekł mistrz — ale u nas serce gorące, ochota wielka i w boju człek pamięć traci.

Ale czas do namiotu — zawarł Grzegorz podając rękę rannemu. — Okryjcie się ciepło i śpijcie jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z nogą bolącą wyciągniętą siedział, ale twarz miał wesołą.

Kardynał obok niego odpoczywał, czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych pułchów, co wszędzie ze złą wróżbą przylatują i psują najmężniejszym serca... Cóż z tego, że Turcy się okazali już przed nami?... Śledzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie wążą...

— A my jutro mając ich tak blisko, mogliśmy wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu... żołnierz pochodem więcej się nuży, niż w boju...

— Z ogniów miarkując — wmięszal się przybyły Grzegorz — siłę mieć muszą znaczną.

— Luźnie idą i obozują zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczmy co jutro pokaże...

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku odprawił kardynał mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne...

W obozie jakby się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął... Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przywdziewać zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu, od gór, krzyki słyszeć się dały.

Czeladź nadbiegła wołając.

— Turcy idą... już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o nodze nabrzmiałej zapomniawszy, i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szykował.

Ze wszech stron wołano.

— Na koń! na koń!

Wtem przypadł Wątróbka, pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć.

— Tabor nas uwięzi i zamknie! — począł król już jadąc naprzód — niech wozy z tyłu zostaną. Ludzie za wozami się niekryjąc, lepiej walczyć będą. Naprzód! naprzód!

Zachwiał się mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go podchwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali. Huniady podpadł na koniu i zobaczywszy Władysława mocującego się z bólem, począł wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborem.

W tej chwili ziemia tętnieć zaczęła i pułki na skinienie Huniada ustawiały się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskiem jeziorem zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W pośrodku miejsce zostawiono dla króla z jego orszakami, który właśnie się zbierał wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój to święto uroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za nimi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu biskupa Jagierskiego, ban Sławonii ze swymi, rota kościelna Cesarinięgo, a na prawo w step ś. Władysława chorągiew z biskupem Waradynu...

Z tyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać...

Czasu do uszykowania się dość było, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciół ukazał się dopiero, gdy słońce już ku południowi się miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swem otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wicher, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad nimi stały podniesione wysoko, poszarpał i przyniół do ziemi. Żaden z tych, co je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew ś. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrzymała choć poszarpana...

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było... Z po za nich naprzód Turcy się skryci ukazywać zaczęli, a na ich czele, z ogromnymi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów...

Na prawem skrzydle przy chorągwi ś. Władysława pierwszy bój się rozpoczął z wrzaskiem i piskiem dziczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła... Były to właśnie najslabsze pułki biskupie i przy nich papieżki żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia...

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelii.

Napróżno dowodzący powstrzymać ich usiłowali... Część Turków, rzucając za siebie dziryty i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosa też, w pobliżu postawiona, samą się ujrawszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony, bezładnie.

Cudem prawie chorągiew ś. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której w pomoc kardynał Julian i ban w paręset koni pobiegli. Bitwa się tu cała skupiła... Część Turków ściagała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór...

Gdy się to działo, stał jeszcze król w pośrodku chwilę, w tej nadziei, że po pierwszym starciu bój może się odmiennym szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapal załedwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą...

Nie było jednak sposobu wstrzymać już, gdy chorągiew św. Władysława osaczoną zobaczył, spiął konia i na oślep rzucił się w tę gąszcz walczących, a za nim wierni towarzysze...

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem przy taborze stał na przedzie, ujrzał złocisty hełm jego poruszający się zdala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesionymi mieczami za nim leciała. Z tyłu pozostała chorągiew ś. Władysława, której król w pomoc chciał spieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków obłożona.

Zwrócił się więc na jej obronę, i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków coraz nowe płynęły tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojuwisko...

Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w kupy walczące, bo i ci co leżeli obaleni na ziemię, koniom podrzynali nogi, jeźdźców chwyтали za strzemiona...

Wśród wrzasku, ryku i rżenia, chrzęstu broni, świstu strzał, już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięzko dotąd walcząc, ploszył przed sobą co żyło i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępu pieszych janczarów, wielkimi tarczami jak murem osłonionych, wśród gradu strzał i beltów, które nawet zbroje żelazne przebijaly.

Sypano niemi z pobliskich wzgórzów, z za krzaków nieustannie...

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia na wóz wysoko naładowany się wdrapał, ujrzał króla jeszcze przeryzującego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś ślaniał się i ubywał.

Złocene hełmy padały i znikaly... Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa... Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypaly jak bicz paciorków, gdy nic trzymająca go pęknie... Huniad szedł za królem jeszcze...

Mistrz zamknął oczy przerażony, a gdy je otworzył, w dali nie zobaczył już nic oprócz gęstego tłumy janczarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony...

W taborze zadrzało wszystko... ludzie przytomność stracili. Niektórzy chwyтали konie i dosiadłszy je, jak szaleni puszczali się nie patrząc gdzie biegli, oślep wrogowi pod miecze...

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność, nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło, w piersi zabrakło oddechu...

Orzeźwiła go rzucana na twarz woda i wołanie pachółka królewskiego, który mu do konia służył; lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie mógł. Jak dziecko się dał pochwyć, na koń rzucić i pociągnąć sam już nie wiedział dokąd...

Słyszał tylko wrzask bojowy po za sobą, dokoła, w powietrzu, świst strzał, jęki konających... potem głuche wrzenie i szum, potem wiatr szeleszczący w gałęziach drzew...

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi, wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek klęczał okrwawiony i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła... a z nią cisza i ciemności, po wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą Petrek, trzymając osłabłego na koniu, kierował, zdająca się spoczynkiem grobu. Grzegorz usnął sądząc, że z bóleści dusznej na zawsze zamknie powieki...

Obudził go chłód poranka i Petrek stojący nad nim z końmi, a nagłący do dalszej ku Dunajowi ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i poddał się jego wodzy... Stracił rachubę czasu, osłabił i życia już nie pragnął...

---

— Nad Dunajem jesteśmy! Bóg nas ocalił! — zawołał Petrek, który do leżącego na ziemi Grzegorza przybiegł przynosząc mu kawał chleba, gdzieś wyżebrany czy wydarty...

Po długim głodzie, chleb ten suchy wydał się najrozkoszniejszym jadem... Grzegorz odzyskał powoli zmysły... Leżeli wśród mokrych zarośli, nieopodal słyhać było szum rzeki...

Wtem od brzegu jej jęk się dał słyszeć... Petrek przestraszony porwał się i nastawił ucha...

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki! — zawołał — w pomoc iść trzeba...

Prerażony pachołek napróżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który odepchnawszy Petrka, puścił się chwiejącym krokiem w zarośla ku rzece...

Ciągłe powtarzające się jęki coraz słabnącym głosem prowadziły go ku sobie... Rozpostarłszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrział i stanął osłupiały...

W krwawej kałuży leżał człowiek w poszarpanej i podartej odzieży, na pół obnażony, ranny, drgając ostatnimi życia wysiłkami.

Twarz zaschła już w części, krwią okryta, nie dozwalała rysów rozpoznać.

Grzegorz przybliżył się ostrożnie, pokłąkł nad nim i schyliwszy nad nieszczęśliwym, krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w nim konającego kardynała Cesariniego...

Umierający otworzył oczy, spojrział i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła<sup>3</sup>.

— Tyżes to? — zawołał ręce załamując Grzegorz...

Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem Cesarini zamruczał.

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniadym zjechałiśmy po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przepawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzucił do wody...

Nie miał już mówić siły...

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając usta, zdawał się powtarzać.

— Niech ci Bóg przebaczy — dodał w końcu — boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeżeli król nasz, bohater ten, padł ofiarą... a! nie ma dla ciebie przebaczenia. Tyś go zabił!!

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim ostatnie wyszło tchnienie.

Straszne to były dnie, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju, niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie mitem nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski...

Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał powiedzieć ani co się z królem stało, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli...

---

<sup>3</sup>puścił się [...] w zarośla ku rzece... [...] W krwawej kałuży leżał człowiek... — Scena ta w życiu Grzegorza z Sanoka przez Kallimacha. (przyyp. aut.) [przyypis autorski]

Grzegorz z Sanoka leżał chorobą powalony, zniechęcony do życia... nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, któraby go spytała:

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech i w Polsce ludzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi ująć się i życie ocalić udało, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam lub indziej widziano... Nierychło potem od Turków przysła wiadomość, że głowę męczennika za wiarę, ściętą na placu boju, w tryumfie rzucono pod nogi Amuratowi...

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstąpiła, nikt nie pozostał. Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarnego i wielu a wielu innych.

Z wziętych w niewolę rannych Polaków, dwunastu najpiękniejszych, najurodzawszych, najdzielniejszych sułtan kazał wybrać, aby ich zmusić groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać zbiedz z Adrianopola. Razem z nimi zamkniętemu w więzieniu młodemu Bułgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten, siebie ocalając, ich zdradził.

Czekała śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskiem żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska...

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Naostatek tęsknota za nim, dawni towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonaną, czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistości sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki.

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który niedoszedłszy lat dwudziestu zjednał sobie imię nieśmiertelne rycerskiem poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z polskich poetów wierszem, którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany,  
W pośród ziemi tureckiej jego poświęcone  
Kości, nie są w ojczystym grobie położone...  
Grób jego jest Europa, Słup śnieżne Bałkany.  
Napis: wieczna pamiątka między chrześciany.

*Drezno 1882.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strzemienczyk-tom-ii>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Strzemieńczyk: (czasy Władysława Warneńczyka). T. 2, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff [etc.], Kraków 1883.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem Wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0461-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.